LISTY

DO

PRZYJACIELA

PRZEZ

LUDWIKA MASŁOWSKIEGO.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.
1884.

LISTY

DO

PRZYJACIELA

PRZEZ

LUDWIKA MASŁOWSKIEGO.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.
1884.

PRZEDMOWA.

Prasa liberalna przez wydawanie wyroków dorywczych, używanie paszkwilu i brudnych insynuacyj, osłabiła znaczenie i wypaczyła działalność jednego z bardzo ważnych czynników społecznych, mianowicie opinji publicznej. Jedni, ludzie bardziej samodzielnego charakteru, widząc jak niesumienne i niesprawiedliwe są wyroki tej opinji, przez prasę fabrykowanej, poczęli ją pomiatać, przestali zwracać uwagę na zdanie bliźnich, a za wskazówkę w postępowaniu wzięli tylko własne swe uczuciowe impulsa i rozumowe refleksje. Drudzy, mając mniej samodzielności, zaczęli robić ustępstwa na jej korzyść, wdali się w kompromisa między swemi przekonaniami a żądaniami falangi prasowych krzykaczy i odchylając się coraz bardziej od tej drogi, jaką im rozum wytykał, weszli na manowce, na których niebawem potłukli do reszty własną bussolę, a kierować się poczęli według popularnych haseł, wieńczonych przez tłum oklaskami. Z obu powodów straciła na tem moralność publiczna, z pierwszego, bo najlepsze i najszlachetniejsze jednostki, postradawszy znaczenie i posłuch u ogółu, przestały brać udział w kierowaniu opinji; z drugiego, bo przez słabość i ustępczość ludzi, skądinąd zacnych, podnosiła się wartość i rosła bezczelność zastępu paszkwilantów; z obu wreszcie, bo w miarę coraz większego dyskredytowania się wyroków prasowych przyszli wszyscy w końcu do przekonania, że dobrze jest mieć za sobą opinję publiczną, jeżeli to prywatnemu interesowi pomaga, ale nie warto zwracać na nią uwagi, gdy te jemu szkodzi.

Jedyny więc czynnnik, który po osłabieniu w społeczeństwie religijnych uczuć przez liberalną doktrynę, mógł jeszcze utrzymywać ludzi w rygorze, krępować ich namiętności i złe popędy, a szlachetnym mocy dodawać, zdyskredytowany został przez niesumienną prasę, zszargany, splamiony, zredukowany do roli płatnego klakiera!

Co krok spotykamy ludzi, mówiących nie dla fanfaronady: „Nie dbam o opinję publiczną!“ Co dzień słyszymy o czynach, illustrujących to zdanie.

Dzięki swobodzie prasowej doszliśmy więc do tego, że tylko kryminał, to sito społeczne najgrubszego kalibru, jest miarą moralności jednostek. Co nie zatrzyma się na jego wielkich oczkach, ma jednakową etyczną wartość: od zbrodni, nieukaranej z braku jurydycznych dowodów aż do najszlachetniejszego poświęcenia swej indywidualności na ołtarzu sprawy publicznej.

A błądzi ten, kto mniema, że po za prasową, drukowaną, istnieje jeszcze inna opinja publiczna, mówiona. Istniała ona dawniej, kiedy prasy nie było; istnieje może jeszcze dzisiaj dla ludzi bezimiennych, ale dla tych, którzy stanęli na widowni i pracują przy jakimkolwiek z wyższych warstatów, wyrabiających sprawy społeczne, polityczne, naukowe, literackie etc., jest i istnieje jeden tylko sędzia, jedna tylko opinja, od której klucz trzyma w swem ręku dziennikarstwo. Od jego wyroków zakładać można apelacją tylko do historji, a więc do przyszłych pokoleń; od jego oszczerstw obronić się można tylko w gronie krewnych, przyjaciół i najbliższych znajomych. Ogół poznaje ludzi pracujących na polu publicznem jedynie z doniesień prasy i wydaje o nich sąd na podstawie tylko tego, co prasa o nich mówi. Więc chociaż zastrzegł sobie prawo sankcji, to jednak samodzielnego zdania nie wypowiada nigdy, bo lubo wietrzy w oszczerstwach prasy prywatę, ulega przecież wpływowi tych oszczerstw, gdyż nigdy obrony nie słyszy.

Z lekceważenia prasowych twórców opinji wyrodziło się lekceważenie jej — tego tak potężnego i tak skutecznego środka do trzymania wszelakiej namiętności i wszelkich skłonności ujemnych w karbach socjalnej etyki. Bez opinji publicznej społeczeństwo normalnie rozwijać się nie może. Musi upadać moralnie, a co za tem idzie, i materjalnie. Stąd coraz żywiej budzi się potrzeba ujęcia prasy w takie formy legalne, aby ze

szkodliwego i rozkładowego czynnika, jakim jest dzisiaj, uczynić pożyteczny. Chcąc zwrócić na tę potrzebę uwagę tych, którzy jej jeszcze nie odczuli, wydaję niniejsze „Listy“ — i to jest ich cel publiczny.

Ale mają one jeszcze prywatny. Są rodzajem sprawozdania z samodzielnej rocznej pracy na polu publicystycznem. Wprawdzie dotąd nie było zwyczaju, żeby redaktorowie sprawozdania takie robili. Ale może też żaden nie znalazł się w tak dziwnych jak ja warunkach, tak szybkiej i tak gruntownej nie odbył zmiany w tak krótkim czasie. Tłomaczę to tem, że w chwili gdy obejmowałem naczelne kierownictwo zakładającego się pisma, miałem stosunkowo za dużo przygotowania naukowego, za dużo teoretycznej wiedzy w porównaniu do znajomości praktycznej polityki. A teorja bez pratyki nie jest kulawą, jak utrzymywał ongi Bacon, lecz jest właśnie za lotną. Przynajmniej ja przebiegłem był w teorji całą skalę liberalnych systemów socjalnych i dotarłem do prawdziwie umiejętnych, podających rękę i teoretyczny podkład politycznemu programowi konserwatywnemu; podczas gdy w praktyce trzymałem się ciągle jeszcze na grząskim gruncie liberalnych sposobów i sposobików. Stąd też otwierając pismo, mające być organem polityki praktycznej, nadałem mu barwę liberalną.

Ale niedługo łamała się teorja w umyśle moim ze zdobywanemi codzień zasobami praktyki. W kilka miesięcy po założeniu *Kurjera Lwowskiego* nastąpiła sesja sejmowa, a z nią otwarte dla mnie zostało bogate laboratorjum politycznych doświadczeń. Na nich uzupełniłem mą wiedzę, rozstrzygnąłem te sprzeczności, które mnie trapiły, a których rozwiązać wprzódy nie umiałem, rozbiłem wszystkie zaczarowane koła, z których wyjścia znaleźć nie mogłem. Snać potrzeba mi było tylko poznać praktyczną politykę, aby do zgody i harmonji doprowadzić to, co wprzódy w nieustannych rozbijało się dyssonansach.

Więc sprawozdanie to z rocznej redaktorskiej pracy przedkładam przed sąd publiczny. Jest ono ułożone niesystematycznie, bo część jego (pierwszych sześć listów) drukowałem już w *Kurjerze* jako wstępne artykuły. Zamierzałem i resztę w tem piśmie ogłosić, bo przedewszystkiem uważałem za potrzebne umotywować zmianę kierunku politycznego przed tem gronem, złożonem z przeszło tysiąca prenumeratorów, które mnie zaszczyciło swem

zaufaniem. Obóz przeciwny zapobiegł temu. Wyszło to jednak dla mnie na lepsze, bo dalsze listy pisałem już swobodniej, bez oglądania się na rozmiary, przepisane zwykłym dziennikarskim wstępnym artykułom. Jednakże ponieważ nie mogłem zmienić formy nadanej początkowi sprawozdania, przeto dla konsekwencji, jakoteż dla utrzymania jednolitości, starałem się w dalszych listach nie wybiegać zbyt daleko po za ramy, wytknięte w pierwszych.

A jakkolwiek tak ułożone sprawozdanie nie jest systematyczne, stanowi przecież taką literacką całość, jakiej od broszury politycznej wymagać można. Z tem wszystkiem, gotów jestem zarzuty co do formy z góry aprobować. Inaczej co do treści. W tej mierze byłaby dyskusja tembardziej pożyteczną, im więcej przyzwyczajono się w obozie liberalnym do brania na wiarę wszystkich formułek jego doktryny, pod pretekstem, że są one postępowe i że nauka daje im swą sankcję. Owoż nauka dawno już zostawiła liberalizm za sobą, a z każdym dniem wypiera się go coraz bardziej. Pojęcie zaś postępowości jest w sprawach społecznych rzeczą tak względną, że tylko młodzieńcza lekkomyślność zapalać się może do wszelkiej reformy z tego jeno tytułu, iż jest nową, a przeto ma oznaczać krok naprzód. Zadaniem polityki nie było nigdy i nigdy nie będzie robienie eksperymentów na żywym organizmie społecznym, lecz utrzymanie w warunkach pomyślnego rozwoju wszystkich tych instytucyj, które do jego zdrowia i siły są potrzebne. Tak jak zadaniem hygieny nie jest przeobrażanie organizmu ludzkiego, lecz utrzymanie w warunkach pomyślnego rozwoju wszystkich organów, potrzebnych do jego zdrowia i siły.

Mówiąc jednak o pożyteczności dyskusji, rozumiem przez to pożyteczność poważnego rozbioru, opartego na argumentach, dostarczanych przez naukę. Zarzutów na takiej podstawie zbudowanych, można zapewne mnóstwo mnie zrobić, bądź dla tego, że nie zbyt jasno wyłożyłem moje myśli, bądź też dla tego, że mogłem zbłądzić tu i ówdzie w aplikacji naukowych twierdzeń. Drugie przyjmę z podzięką, pierwsze z żalem, że nie jest mi daną dość silna doza talentu przemawiania w sposób więcej przekonywający.

Ale takie zarzuty nie będą miały nic wspólnego z tą powodzią smutnych insynuacyj, któremi satysfakcję sobie sprawiła

prasa liberalna po ogłoszeniu pierwszych listów w *Kurjerze Lwowskim.* Zarzuty zrodzone z uprzedzenia i złej woli spadają zwykle tuż pod płodzącem je drzewem. Zamiast więc dosięgać przeciwnika i ranić, albo go przekonywać, zdradzają tylko niemoc rodziców. Sądzić tedy mam wszelkie prawo, zwłaszcza, że i kurtoazja dziennikarska zniewala mnie do takiego sądu, iż prasa liberalna postąpi teraz inaczej i w obec ważnych społecznych zagadnień, które w tych listach poruszyłem, odłoży na bok zwykłą swą broń, a zajmie się przeważnie zbadaniem, ile jest racji w twierdzeniu mojem, że liberalizm jako teorja społeczna jest mocno niebezpieczna, bo do anarchji prowadzi i podsyca tę ku niej skłonność, jaka jest niestety wrodzoną w naszym narodzie; a jako teorja polityczna jest stanowczo szkodliwa, bo łudzi nas czczemi formułkami i przeszkadza oparciu się na tym poważnym i stałym czynniku w Austrji, który nas jedynie może wesprzeć skutecznie w pracy nad reorganizacją kraju, tak zaniedbanego pod każdym względem.

Dnia 15 Kwietnia 1884 r.

I.

6 Marca 1884 r.

„Ludzkość kroczyłaby naprzód bardzo powoli, gdyby każdy ograniczał się do ustnego tylko komunikowania w gronie swych przyjaciół rezultatów zdobytego w życiu doświadczenia. Przeto dla sprawy postępu obowiązany jest każdy, kto miał sposobność zebrać obfity plon spostrzeżeń, komunikować go współobywatelom za pomocą prasy — bo inaczej ich okrada. Zatajając przed nimi to, co może im pożytek przynieść, działa równie szkodliwie jak ten, który ich na manowce wiedzie. Co do mnie, uważałbym za mego wroga tak tego, którýby mnie pchnął w przepaść, jak i tego, który widząc, że sam ku niej nieświadomie zmierzam, nie zatrzymałby mnie nad jej krawędzią".

Temi słowy zamknąłeś swój list ostatni w szeregu tych kilku, w których domagałeś się, abym kończąc rok mej redaktorskiej pracy i mając zamiar opuścić ten statek, który sam zbudowałem i w którym tyle burz przebyłem, zdał sprawę ogółowi mych czytelników z doświadczeń, jakie przez ten rok zrobiłem i z spostrzeżeń, jakie zebrałem.

„Tembardziej winieneś to uczynić — pisałeś mi mój drogi przyjacielu — że w piśmie swojem przebiegłeś całą chromatyczną gamę uczuć, od najskrajniejszego radykalizmu do konserwatyzmu, patrzącego z pietyzmem w instytucye przeszłości i gotowego na ich wzór niejedno zorganizować w dzisiejszem społeczeństwie. Musiała więc w twoim umyśle odbyć się fermentacya olbrzymia, tak zasadnicza, że zdać z niej nam sprawę winieneś, jeżeli nie dla naszego pożytku, to dla usprawiedliwienia siebie".

Owoż ostatnie te słowa mnie podrażniły. Bo wyznam otwarcie, że o ile zgadzam się z zdaniem niektórych psychologów, iż wszelkie pamiętniki i spowiedzie publiczne są jako dokumenta do psychografii człowieka przyczynkiem bardzo cennym, o tyle nie rozumiem, dla czego miałby się usprawiedliwiać ten, który zmienił zdanie?

Zmienił — to najoczywistszy dowód, że pracował, że kształcił się, że rozwijał swój umysł, zdobywał wiedzę i nie lenił się wyrzucać z głowy tego, co się okazało fałszywe, a wkładać natomiast tych twierdzeń, które dzisiaj za aksyomata uważa.

„*Il n'y a que les imbéciles, qui ne changent jamais d'opinions*", powiada przysłowie francuskie. Tylko głupcy nie zmieniają nigdy zdania, bo tylko oni mają umysł skamieniały. Petryfikacya tezy jakiejkolwiekbądź jest niezawodnie symptomatem umysłowego zastoju. I wierz mi, że nic tak przykrego nie robi wrażenia nad człowieka, który wiecznie i zawsze te same jak papuga wypowiada frazesa.

Spodziewam się wszakże, że tego zdania nie popchniesz do ostateczności i nie zrobisz mi zarzutu, iż według mojej teoryi kameleonowa zmienność przekonań jest szczytem inteligentnej pracy nad rozwojem umysłu. We wszystkiem są bowiem pewne granice, więc i zmiana zdań je posiada. Dla umysłu — są niemi twierdzenia niezbite, takie, które ze sfery hipotez przeszły w sferę prawd naukowych, uznanych przez cały świat uczony. One są milowemi słupami na rozwojowej drodze myśli ludzkiej i bądź pewny, że inteligentna głowa obnaży się zawsze przed niemi.

Ale jeżeli nie posądzasz chemika, który przez czas pewien wierzył w teoryę x powstania nafty, a potem, zająwszy się gruntownie zbadaniem tego przedmiotu, zarzucił ją i zapisał się do zwolenników teorji y; dla czego — pytam — żądasz, aby się usprawiedliwiał przed Tobą publicysta, który zrazu był przekonania, że ta lub owa ustawa będzie pożyteczną, zbadawszy jednak rzecz bliżej, przyszedł do wniosku, że społeczeństwo na szwank narazi?

Więc porzuć tę starą i kultywowaną tylko u narodów mało politycznie rozwiniętych metodę myślenia, że wypada

posądzać uczciwość każdego, który przechodzi z jednego obozu politycznego do drugiego.

W Anglii nikt nie podejrzywa whiga, który się zapisuje do zastępu torysów. W Ameryce całe legjony demokratów przechodzą do republikańskiego obozu w jednym stanie, a w innym republikanie przemieniają się w demokratów. W Hiszpanji Castelar, prezydent czerwonej rzeczypospolitej, staje na czele umiarkowanej partji. We Włoszech skrajni republikanie są ministrami monarchicznego rządu. W jednej tylko Polsce trzeba się spetryfikować i być podobnym do katarynki grającej zawsze te same walce, chcąc zaskarbić sobie opinię człowieka stałego charakteru.

Wierz mi, że rzadko kiedy, zwłaszcza na politycznem polu, wyznawanie jednej doktryny przez długi szereg lat, jest znamieniem stałości charakteru. Najczęściej jest ono dowodem zasklepienia się umysłowego w pewnej sferze pojęć i pozostawania w niej bez kontroli, jakoteż i bez pracy nad jej rozszerzeniem.

Niektórzy ludzie są nadto zmuszeni do tego naturą swych zajęć. Weźmy n. p. lekarza, przyrodnika, inżyniera, technika etc. W uniwersytecie, w chwilach wolnych od swych specyalnych studjów, zagląda młody człowiek do dzieł socjalnych i politycznych, a kierując się swego wieku sympatją, przyswaja sobie wszystkie tezy liberalne, jakie w tych książkach spotyka. Nie bada czy odpowiadają one potrzebom życia ludzkiego, bo go nie zna i zbadać tego nie może. Nie zastanawia się, czy społeczeństwo według tych liberalnych formułek zbudowane, zdołałoby osiągnąć cel, który sobie wytyka — to jest najtańszym kosztem uszczęśliwienie największej możebnie liczby ludzi. Nie wchodzi w to, czy zwolnienie więzów, krępujących namiętności, nie przyczyniłoby się właśnie do rozwinięcia w ludziach antispołecznych pierwiastków. Bo oczywiście wchodzić w to i badać tego wszystkiego nie może, kocha liberalizm i gotów walczyć o niego, bo on najlepiej zaspokaja młodą jego fantazję, a najwięcej przyrzeka młodym jego namiętnościom, pragnącym rozkuć kajdany, nałożone przez stare społeczne teorje.

Po skończeniu uniwersytetu, człowiek taki oddany swej zawodowej pracy nie ma czasu na socjalne lub polityczne studja; trwa więc dalej w swej admiracji dla liberalnych formułek, aż z biegiem lat, w miarę ostygania młodzieńczych zapałów,

poczyna w nich tu i ówdzie robić wyłomy i szczerby. W owym perjodzie weź go na indagacyę, a przekonasz się, że w głowie jego cały chaos przeróżnych twierdzeń i hypotez: znajdziesz tedy umiarkowane, nawet konserwatywne zdania we wszystkich kwestjach praktycznych, o które się w życiu ocierał — będą one rezultatem doświadczenia i umitygowania się temperamentu; znajdziesz dalej to, co się nazywa *les lieux communs*, to jest komunały, wałęsające się po ulicach, które co chwila możesz podnieść z trotuaru i włożyć sobie do głowy; znajdziesz wreszcie cielęce zachwyty dla liberalnych reform, ale najniezawodniej w sprawach takich, które o niego nie ocierały się bezpośrednio.

Więc czyż stałego charakteru składa taki człowiek dowód, przez to, że w ciągu lat kilkunastu czy kilkudziesięciu wytrwał w admiracji dla pewnych formułek, które mu wpadły do głowy za uniwersyteckich czasów?

A badaj ludzi dokoła siebie, to przekonasz się niezawodnie, że większość trwa lata przy tej samej politycznej wierze, nie dla tego, iż pracą ją w sobie rozwija, wykształca, rozszerza i uzbraja w odporne argumenta; ale dla tego, że pokrywa ją umysłowem lenistwem jakby warstwą kurzu, że nie chce sobie zadać trudu weryfikacyjnego, że nawet może zweryfikować ich nie umie z braku odpowiedniego przygotowania w naukach politycznych i socjalnych. Rada, że ma na swym mózgu kilka osadzonych walców, wygrywa je wiecznie z monotonją i bezuczuciowością katarynek...

II.

8 Marca 1884 r.

Nie posądzam Ciebie o niedomyślność, owszem, mam nawet pewne prawo przypuszczać, ża umiesz czytać między wierszami i że w ostatnim mym liście, szperając między niemi, znalazłeś powolnego Twojego sługę.

Byłoby mi bowiem niewypowiedzianie przykro, gdybym miał o sobie tak opowiadać, jak opowiadałem o lekarzu, przyrodniku, inżynierze etc., słowem o grupach ludzkich. Egotyzm

nigdy nie figurował w rzędzie moich wad. Zalicz więc mnie do jednej z owych grup — i słuchaj dalej.

Na stu młodych ludzi, kształcących się w uniwersytetach Zachodniej Europy, wraca 99 do kraju z głową pełną najskrajniejszych poglądów socjalnych i politycznych. Najznakomitszy nasz historyk współczesny, rozmawiając raz ze mną o prądach nurtujących wśród młodzieży naszej, rzekł tak: „Jeżeli młodzieniec do lat 20 i paru nie jest rewolucjonistą, źle tuszę o jego sercu, lecz jeżeli po latach 30 jest jeszcze rewolucjonistą, źle tuszę o jego rozumie“.

Zupełnie słuszną jest pierwsza część tego zdania, bo kto w perjodzie tym życia, gdy krew jest wrzątkiem, nie pragnie w drodze sumarycznej, za pomocą rewolucji, uszczęśliwić swych bliźnich; kto już wtedy ma tyle zimnej krwi, aby rozumiał, że społeczeństwo na pospiesznie wprowadzonych reformach zwykle więcej traci, niż korzysta; ten zapewne rozumnym jest bardzo, ale kosztem tego co u młodzieży jest najcenniejszem, kosztem zapału i serca.

Ale czy również jest słuszną druga? Mnie się zdaje, że nie, przynajmniej wtedy, gdy dotyczy ludzi, którzy zajęci swą zawodową pracą, nie mają ani możności ani czasu kształcić się w rzeczach politycznych i społecznych, nie mogą nawet przekonać się, czy wyznawane przez nich doktryny dadzą się zaaplikować w życiu. Socjolog i polityk z profesji, którýby po latach 30 bił czołem przed rewolucją, lub trawił się gorączką wprowadzenia radykalnych reform, dawałby prawo innym do tuszenia źle o jego rozumie; ale człowiek oddany innej dyscyplinie naukowej, może długo, bardzo długo zachować w całej świeżości swe socjalne skrajne formułki bez ujmy dla swej inteligencji.

Zwłaszcza może to w Galicji.

Wiesz dobrze o tem, że Twoja ściślejsza ojczyzna nie używa dobrej reputacji w innych ziemiach Polski. Nieoceniona Wasza prasa zrobiła Wam taką renomę, że nad jej poprawieniem lata pracować będziecie. Dla swych opozycyjnych względzików, mizernych jak ona, przedstawiała systematycznie, że wszystko to, co wynosi się ponad szare tło Waszych mas społecznych, jest z gruntu zepsute, zdemoralizowane do nieskończoności, przedajne, serwilistyczne, płaskie i tak do szczętu pozbawione

wszelkich uczuć patrjotycznych, że gotowe w każdej chwili za posadę, order lub srebrniki sprzedać ojczyznę i jej sprawę. A zważ, że Polakowi nie potrzeba długo motywować istnienia takich ludzi. Jak panienka, czytająca powieść, nie żąda od autora, aby umotywował powstanie drżeń miłosnych w sercu bohaterki; tak Polak, znający dzieje zeszłego stulecia, wierzy na słowo w egzystencyą serwilistów i zdrajców.

Cóż dziwnego, że i ja w ich istnienie uwierzyłem, podobnie jak tysiące moich rodaków przybyłych z innych ziem Polski?

Nie znałem waszych mężów stanu, osobiście nie zetknąłem się z żadnym, ale za to przed przyjazdem do Galicyi i po przyjeździe, czytałem dzień w dzień w najbardziej rozpowszechnionych organach publicystyki galicyjskiej, że każdy z nich jest jakimś demonem, potworem, czyhającym tylko na zgubę kraju, gotowym co chwila poświęcić go dla swej prywatnej maluchnej korzyści. Zrazu mówiono o jednostkach i po kolei wystawiano codzień jednego pod pręgierzem. Potem zaczęto mówić o całych grupach, a w najstarszych organach publicystyki krajowej drukowały się artykuły noszące tak haniebne tytuły jak: *„Eisenbahn-cavaliery delegacyjni“*, *„Länderbankowicze delegacyjni“* etc.

I czy uwierzysz, że ja w to wszystko wierzyłem, co w tych artykułach czytałem? Dziś, gdy znam już naszych mężów stanu i z bliska patrzyłem na ich pracę, sam się rumienię z ówczesnej prostoty mojego umysłu. Ale wtedy dałbym się porąbać w kawałki w obronie zdania, że cały nasz Sejm i cała nasza delegacja, z wyjątkiem kilku osób, zahukanych w mniejszości, składa się z ludzi do szczętu zepsutych, a tak zdemoralizowanych, że gotowych nietylko rządowi, ale pierwszemu lepszemu bankowi wiedeńskiemu sprzedać całą naszę ojczyznę.

Zresztą, jeżeliby Ci wydawała się niemożebną wiara w coś tak potwornego, to chodź ze mną po ulicach, kawiarniach i cukierniach Lwowa, a w ciągu godziny podejmuję Ci się przedstawić setkę ludzi inteligentnych, żywiących do dziś to przekonanie.

Dziwna rzecz, że na tę rozczyniającą działalność naszej prasy nikt u nas dotąd nie zwrócił uwagi. Jedni, z pogardą patrząc na nią, nie czytają jej kalumnij i sądzą, że również

nikt inny ich nie czyta; drudzy uważają jej wrzaski za pewien rodzaj bodźca dla osób stojących u steru i chociaż rozumieją jak one są bezpodstawne, mniemają wszakże, że w Wiedniu przynoszą nam korzyść, a w kraju nie obałamucą nikogo; wreszcie inni widzą w tem wybryk swobody prasowej, więc przez admiracyę dla tej swobody, znoszą ów wybryk, chociaż się z nim nie solidaryzują. Ale nikt nie przypuszcza, że są całe zastępy ludzi, skądinąd zacnych i rozumnych, którzy zdala stojąc od spraw politycznych, biorą za dobrą monetę wszystko to co opozycyjna prasa pisze; i że nadto są całe szerokie warstwy społeczne, mało wykształcone, dla których każde drukowane słowo ma wartość ewangeliczną.

Ta kilkuwierszowa dygresja na pole prasy naszej potrzebną mi była, aby umotywować fakt, któremu skądinąd może byś wiary nie dał, że kiedym obejmował redakcyę *Kurjera*, przedstawiała mi się Galicja jako wielka sadzawka, cuchnąca i brudna, na całej powierzchni pokryta wszelkiego rodzaju wodorostami. Rolę wodorostów grał Sejm i wiedeńskie Koło polskie. Urządzić odpływ dla wód tej sadzawki, zwiać z jej powierzchni owe wodorosty, wydobyć z wnętrza nowe a utajone siły, oto zadanie, które nakreśliłem sobie.

Do wykonania go potrzebowałem ludzi, innemi słowy, stronnictwa. A ponieważ widziałem w kraju oprócz „wodorostów" rozbitą i słabą grupę, pozbawioną wszelkiej inteligencyi, wprawdzie jak mi się zdawało uczciwą, ale jakąś tak dziwną, że do niej mimowolną odrazę czułem; zgadujesz, że mam na myśli stronnictwo narodowe, inaczej tromtadracyą zwane; przeto postanowiłem dokoła mego pisma zgrupować obóz postępowy, zacinający nawet z lekka radykalizmem. Radykalizm był bowiem mi potrzebny jako energiczny środek hydrodynamiczny do zruszenia wód owej sadzawki.

W tym celu zwrócić się musiałem ku Rusinom, zwłaszcza że i z innych pobudek uważałem sprawę ruską jako ważną niepospolicie, a źle przez naszę prasę prowadzoną. Ponieważ byłem zasadniczo zwolennikiem ugody z Rusią, pragnąłem przeto przy jej ogniu upiec pieczeń obozu postępowego. Rozumowałem w ten sposób: Rusini dobrze pokierowani mogą być wybornym elementem postępowym; zebrać więc ich siły, niepotrzebnie dziś używane w narodowościowej walce, i skierować, wespół z siłami

postępowych żywiołów polskich, przeciw tym wodorostom, które po wierzchu naszych wód pływają i nas tłoczą, a zwycięztwo nieochybne. Wodorosty spłyną, a Galicja odradzać się pocznie, Galicja nowa, młoda, piękna, nieskończenie postępowa, a nadewszystko moralna. Bo na tem najwięcej mi zależało.

Pamiętaj, że działo się to w epoce, kiedy sprawa Kamińskiego rzucała na kraj nasz silny cień, kiedy sprawa *Schweiggeldów* była przedmiotem ogólnej dyskusji i kiedy w powietrzu unosiły się pogłoski potworniejsze jedna od drugiej.

Miałem więc prawo w nie wierzyć, choćby na zasadzie, że bez ognia nie ma dymu. Ale ja wierzyłem w nie święcie, bo wiarę we wszystko co potworne wpajała we mnie przez lat kilka opozycyjna prasa galicyjska.

Co się dalej działo, wiadomo Ci dokładnie. Zrazu powolnie rozwijałem mój program, potem widząc, że trzeba działać energiczniej, rzuciłem bombę w postaci artykułu „Do buntu"! Okrzyczano mnie zdrajcą i zaczęto ścigać. Tymczasem ja coraz silniej rozwijałem żagle i płynąłem na przebój, aż wreszcie.... zacząłem zwalniać bieg, przystawać, cofać się, wahać się parę miesięcy, przerabiać w sobie wszystko, od myśli aż do uczuć, od poglądów zasadniczych aż do sympatyj, przecierać coraz lepiej oczy i.... płynąć w wręcz przeciwnym kierunku.

Opowiedzieć Ci jak się to stało i dla czego tak się stało jest zadaniem niniejszych listów.

III.

9. Marca 1884 r.

Stojąc na czele pisma, musiałem z natury rzeczy stykać się codziennie z mnóstwem najrozmaitszych osób. Ludzie, o których dawniej, oddany gabinetowej pracy, wyobrażenia żadnego nie miałem, stawali się teraz codziennymi gośćmi mojej redakcji. Należeli oni do najrozmaitszych sfer towarzyskich i w rozmaitym stopniu byli wykształceni; różnili się więc ze sobą we wszystkiem, ale mieli jedno wspólne, a straszne znamię, — znamię, które ogniem i mieczem tępić potrzeba, a najsilniejszemi kwasami wyżerać: — skłonność ku anarchji.

Przypuszczam, że słowa te wywołały od razu w Twym umyśle cały szereg obrazów z drugiej zwłaszcza połowy zeszłego stulecia. Widzisz przed sobą te butne postacie, w których indywidualizm czy indywidualistyczność po to się tylko skrystalizowała, aby pokazać jak może zabić społeczeństwo, gdy się nadmiernie w niem rozwinie. I myślisz zapewne, że jest niemożebnem, aby to co było tak złem i co wiekowa niewola wypiec w nas i wypalić powinna była, odżyło ponownie w lat sto?

Owoż i ja tak myślałem, a przekonałem się ku wielkiemu strapieniu, że jest zupełnie inaczej.

Dociekałem, w jaki sposób mogli w Galicji pojawić się epigonowie anarchistów XVIII stulecia i mnie się zdaje, że rozwiązałem zagadkę.

Od przeszło wieku nie miała ona swego, polskiego rządu, z konfederatką na głowie i karabelą u pasa. Miała natomiast rząd obcy, który w kraju zdobytym, opierał się oczywiście o bagnet, budził postrach, ale sympatji nie zdobywał. Rzeczą więc patrjotyczną było podówczas szerzyć do tego rządu ogólną niechęć. Szerzono ją tedy powszechnie, w literaturze i sztuce, w poufnych pogadankach i w gwałtownych wybuchach publicznych, nie bacząc na to, że równocześnie osłabiano inny, nieskończenie cenny i ważny pierwiastek socjalny: — uległość przed majestatem władzy prawodawczej i wykonawczej.

Żachnąłeś się przeczytawszy te słowa? Przyznaj się otwarcie — wszak Cię ukłóły one gdzieś w głębi serca, czy mózgu?

Bo też i w Tobie jest żyłka anarchiczna. My ją wszyscy mamy, odziedziczamy ją po naszych przodkach i rozwijamy w sobie pod pretekstem patrjotyzmu przez całe następne życie.

Ale czy zastanowiłeś się kiedy nad tem, że państwo i anarchja to dwa pojęcia wykluczające się nawzajem, wykluczające się tak dokładnie, bez żadnej reszty, że z anarchicznego narodu nikt nigdy państwa stworzyć nie zdoła? A przecież do tego dążymy i stawiamy to sobie jako wspólny ideał.

I uważaj tylko: dla dopięcia tego ideału obraliśmy sobie drogę, która nietylko nas nigdy do niego doprowadzić nie może, ale właśnie od niego nas cofa! Dajmy sobie poklask.

Gdybyśmy jeszcze mieli geograficznie tak szczęśliwe sąsiedztwo, że np. przytykali do granic Francji, która powagę

rządu tarza teraz w kałuży ulicznej Ale dokoła nas dwa silne narody, silne tem właśnie, że otaczające swój rząd niemal aureolą świętości i pochylające przed nim głowę na każde jego skinienie. I my, chorzy na anarchię, na *liberum veto*, na indywidualistyczność krańcową, na „co głowa, to rozum“, na nieuznawanie żadnej powagi, oprócz powagi własnego ja, podsycanego chwilowemi namiętnościami; cóż my poczniemy wtłoczeni pomiędzy takie dwa narody, które niemal do ideału doprowadziły państwową solidarność swych członków?

Ale chętnie obnażam głowę przed patrjotami poprzednich pokoleń, którzy w dobrej wierze i w czystych intencjach zadawali swym współczesnym pigułki anarchiczne pospołu z patrjotycznemi.

Lecz stosunki się zmieniły, zawiał wiatr inny, dostaliśmy własny rząd i własną administracją. Postawiono nad nami dwie władze, obie polskie, choć jedna w mundurze austrjackim.

Czy zmieniono taktykę, czy pochylono przed niemi głowę, czy podniesiono powagę władzy? Czy choćby na chwilę zastanowiono się nad tem, że dość już pracować nad szerzeniem patrjotyzmu anarchicznego, a pora się zająć tępieniem go i rozwijaniem natomiast państwowych pierwiastków, szacunku dla ustaw, sympatji do władzy, respektu dla każdego z jej organów?

Miano u steru kontusz i karabelę — a rzucano w nie tak samo błotem, jak rzucał ongi ulicznik w mundur znienawidzonego kulturträgera. Prasa nasza prześcigała się w poniżaniu powagi Sejmu i Koła polskiego z tem większym zapałem, im mniej ją mogła za to konfiskować prokuratorja rządowa. Na władze zaś centralne, jakkolwiek również polskie, a od Gołuchowskiego czasów ożywione nawet silnym patrjotyzmem, pisała to wszystko, co przecisnąć się mogło pomiędzy paragrafy niedołężnej ustawy prasowej.

Urządziła sobie rodzaj formalnego sportu, w którym nagrodę zdobywał.... najbezczelniejszy. Marszałków sejmowych ściągała z prezydjalnego fotelu i stawiała pospołu z prostymi kolejowymi aferzystami, posłów tarzała w błocie ulicznem lub ubierała w liberję ministerjalnych lokai; a gdy którego życie było tak krystaliczne, że mu nic zgoła zarzucić nie można było, to i wtedy jeszcze miała na niego radę: odsądzała go od rozumu.

Gawiedź uliczna pierwsza tej anarchicznej pracy poklask dała. Przemawiała ona bowiem do jej gustu, podsycała jej własne anarchiczne popędy. Za gawiedzią poszły wyższe warstwy, bo i w ich żyłach płynęły anarchiczne skłonności. Zrazu znajdowano to bezmyślnem, ale zabawnem, potem, w miarę rozwijania się anarchizmu pod wpływem takiej lektury, znajdowano to potrzebnem i korzystnem, wreszcie przejęto się tak dalece temi anarchicznemi tendencjami, że wprost poczęto żywić pogardę dla każdego, uchylającego głowę przed powagą władzy ustawodawczej lub wykonawczej.

A zapytasz, co w obec tej tak szalonej, a tak strasznie szkodliwej działalności prasy, robili ludzie poważni, inteligentni, rozumiejący co w społeczeństwie rozwijać, a co tępić należy? — Nic, albo to co robi gawiedź uliczna w obec zbrodniarza, którego chce aresztować policjant: — stawali po stronie prasy.

Więc skłonność ku anarchji odziedziczona po przodkach, po bohaterach „złotej swobody szlacheckiej“, a następnie podsycana konspiracyjną działalnością epoki przedkonstytucyjnej, zamiast zniknąć w ciągu ostatnich lat dwudziestu i ustąpić miejsca przed właściwemi popędami socjalnemi, jak respekt dla władzy, solidarność państwowa, zamiłowanie porządku etc.; zaczęła właśnie okwitać pod słońcem swobody prasowej, podlewana strugami jadu i nienawiści tak dla rodzimego jak i dla centralnego rządu i tak samo wreszcie dla władzy ustawodawczej.

IV.

11. Marca 1884 r.

Są ludzie, którzy przy głębokiem wykształceniu nie rozumieją nieraz najprostszych rzeczy. Więc nie dla tego, żebym podejrzywał Twoję inteligencją, ale że przypuszczam, iż może się nigdy nad kwestją anarchji nie zastanawiałeś i przeto jej nie znasz, głównie jej list dzisiejszy poświęcę.

Przenieś się myślą do którejkolwiek glyptoteki i stań przed marmurowym posągiem. Ujrzysz piękne linje, w harmonijny splecione akord i odsłaniające genialną myśl mistrza, zakutą w marmurze.

W tem świętokradzka ręka się zbliża, uderza młotem i posąg rozsypuje się w drobne kawałki, wielkości ziarnek piasku.

Szukaj w nich myśli — czy tej genialnej, którą przed chwilą wyrażał marmur, czy jakiejkolwiekbądź innej, choćby tak płytkiej, jak program tromtadracji. Szukaj! I cóż — nic nie znajdujesz? Miljon ziarnek, które masz przed sobą, nic nie wyraża? A przecież ani fizycznie ani chemicznie nie uległy one żadnej zmianie. Od ciepła tak samo się rozszerzają a zwężają od zimna jak przed chwilą posąg; na kwasy chemiczne reagują podobnież jak wtedy, gdy statuę tworzyły. Dla czegoż więc w nich żadnej myśli nie dostrzegasz?

Oto dla tego, że odjąłeś im to, co do wyrażenia myśli pomagało, pozbawiłeś je spoistości, tej siły, która je skupiała w całość, wyobrażającą piękno.

Sprzęgnięte społem tworzyły one dzieło nieśmiertelne; rozbite i rozproszone tworzą kupę pyłu, którą wiatr rozwieje....

To samo dzieje się z społeczeństwem. Ono także jak marmurowy posąg składa się z ziarnek, ludźmi zwanych. Ziarnka te, czyli ludzie, spojeni w jednę całość, tworzą statuę państwową, wyrażającą myśl społeczną. Ale uderz w nią młotem anarchicznych skłonności, a otrzymasz kupę pyłu, którą zmiecie fala dziejowa z powierzchni ziemi.

I nie przez co innego, tylko przez anarchię ginęły narody. Mógłbym Ci setki przytoczyć na to przykładów. Nie przez co innego, tylko przez silną spoistość i poszanowanie władzy, przedłużały swój byt takie państwa, które już nawet anachronizmem trąciły. Popatrz na Turcją albo jeszcze lepiej na Rosję. Czemże te 15 miljonów Rosjan zdołało ujarzmić 85 miljonów innych narodów i plemion, jeżeli nie swą cementową spoistością, swą niemal bałwochwalczą czcią dla władzy? Czyżby ten kolos utrzymał się choć godzinę, choć kwadrans, gdybyśmy w jego maszynerji w miejsce każdego Rosjanina, pełnego wad przeróżnych, ale okupującego je nieporównaną solidarnością państwową, postawili wszędzie galicyjskiego Polaka, skąd inąd o całe niebo moralniejszego, ale za to przejętego skłonnością ku anarchji? Runąłby natychmiast. Tymczasem dzięki tej nieocenionej solidarności państwowej Rosjan, stoi i stać długo jeszcze będzie.

W anarchiczności naszej tkwi także główna przyczyna tego smutnego faktu, że wszystkie nasze usiłowania o zdobycie zaufania u sfer decydujących i wyrobienia cokolwiekbądź samoistnego w państwie stanowiska, napotykały zawsze na tak nieprzełamane przeszkody, jak to widzieliśmy w sprawie decentralizacji kolejowej. Nikt z tych sfer nie chce nas brać na serjo, ani ci którzy nam sprzyjają, ani ci, którzy do nas nie żywią dodatnich uczuć, a każdy nas uważa, nie jako materjał dobry do budowy politycznej, ale jako rumowisko, przydatne co najwięcej do łatania dziur starego gmachu.

I to jest tak dalece prawdą, że gdyby nagle w skutek jakiejś nadprzyrodzonej siły zniesionem zostało z powierzchni Galicji stronnictwo konserwatywne, jedyne, które umiało pozbyć się anarchiczności, rozwinąć takt polityczny i zdobyć stopniowo zaufanie w Wiedniu, to możesz być przekonanym, że w ciągu 24 godzin zmieniłby się do niepoznania stosunek rządu do nas.

Nie radzę Ci przenosić się myślą na stanowisko tych decydujących sfer i z ich wysokości zadawać sobie pytanie: czy mają one rację nam nie ufać? — bo mógłbyś do bardzo smutnych dojść refleksyj; ale natomiast szczerze Ci radzę zająć się poważnie rozwiązaniem tej kwestji: — czy nasi demokraci mają rację sprzedawać nam pod etykietą patrjotyczną towar lichy, podniecający nasze anarchiczne skłonności i rozczyniający społeczeństwo?

W zastępie tych demokratów spotkałem, choć mało, ludzi pracujących poważnie nad socjologją w ogóle lub specjalnie nad etnologią i porównawczą psychografią narodów. W rozmowach więc naukowych zdradzali wysokie wykształcenie i doskonałą znajomość tych czynników, które społeczeństwo budują. Natomiast w życiu postępowali jak sejmikująca szlachta za czasów saskich.

A przecież niechże przejrzą wszystkie najnowsze prace socjologiczne, od Bagehota, (który wypowiedział słynne zdanie, że *„najgorszy rząd jest zawsze jeszcze czemś nieporównanie lepszem od najlepszej anarchji“)* do Comte'a, Lubbock'a, Darwina, Littré'go, Spencera etc.; niech przeczytają jak wszyscy ci pisarze zalecają rozwijanie solidarności państwowej, poszanowanie ustaw i władzy; jak za najgłówniejsze właśnie zadanie pedagogiki politycznej uważają kształcenie tej solidarności; i pomyślą, czy za

ich wskazówkami idą, gdy szerzą wśród ogółu mniemanie, że każdy może swoje mizerne i bezimienne *ja* stawiać wyżej od powagi Sejmu i Koła.

Ale dość o nich — wracam do siebie, aby zaznaczyć, że kiedym obejmował redakcję, sądziłem o usposobieniu galicyjskiego społeczeństwa zupełnie inaczej. To co potem okazało mi się jako następstwo zgubnej anarchiczności, wydało mi się zrazu, jako naturalna i z czystych pobudek płynąca reakcja przeciw „wodorostom“, tłoczącym kraj przy pomocy rządu. Tyle o nim i o nich złego słyszałem, że z samej skłonności do tworzenia kontrastów, jaka tkwi w każdym człowieku, wyobrażałem sobie, że obóz ludowy ma nawet za dużo dodatnich pierwiastków socjalnych, za nadto jest uległy, za wiele zgina karku, za ślepo słucha rozkazów płynących z góry. Tym bowiem tylko sposobem mogłem sobie wytłómaczyć ten fakt niepojęty, że kraj pomimo głębokiego przeświadczenia o braku moralnej wartości u „wodorostów“, oddaje przy każdych wyborach zawsze niemal w te same ręce swoje mandaty.

Tę uległość uznałem jako „stadowość“ a nie jako „solidarność socjalną“ i zrazu usiłowałem nawet ją zwalczyć. Widzisz zatem z tego, jak mi pod wpływem fałszywych pojęć o społeczeństwie galicyjskiem, wpojonych przez prasę naszę, przedstawiało się wszystko zupełnie odwrotnie.

Ale jeżeli ja, mogący jako pisarz zaglądać często za kulisy naszych warstatów prasowych, zostałem tak fatalnie na głównym punkcie w błąd wprowadzony; to cóż dopiero za chaos wyobrażeń i pojęć powstawać musi w głowie czytelnika na prowincji zjadającego codzień anarchiczną strawę, przyrządzoną przez którąś jednę dziennikarską kuchnię i patrzącego na świat, na jego stosunki i rzeczy, przez okulary tylko tego dziennika! Żal mi zaprawdę tych ludzi, żal mi tych głów nieszczęśliwych, w które codzień takie potworne wkładane są fałsze, i tych serc biednych, stworzonych do kochania, a karmionych tylko paszkwilem, jadem i nienawiścią.

O prasie naszej pomówię jeszcze z Tobą, a tymczasem zaznaczę, że przekonawszy się o błędzie mych poglądów, natychmiast zacząłem działać w odwrotnym kierunku. Nie chciałem mieć na sumieniu, że świadomie popierałem anarchją; owszem

postanowiłem całą siłą argumentacji podnosić przy każdej sposobności powagę Sejmu i Koła.

A jako lekarz, który przekonawszy się, że zrazu zrobił złą diagnozę, odrzuca pierwsze swe lekarstwa i zapisuje nowe; tak i ja, ujrzawszy, że dominującą chorobą naszego społeczeństwa jest anarchiczność, cofnąłem recepty postępowe, mogące właśnie ją podsycać i zacząłem głównie dążyć do zjednoczenia warstw społecznych, do związania ich więzami zaufania wzajemnego i wzajemnej sympatji.

W anarchicznym kraju szerzyć myśl zorganizowania postępowego obozu, wydało mi się równie niewłaściwem, jak choremu na podagrę zalecać baletowe tańce lub wśród Botokudusów i Buszmenów, niemających pojęcia o prawie własności, propagować zakładanie kas oszczędnościowych.

V.

13 Marca 1884 r.

Do sprawy owych anarchicznych skłonności, o których mówiłem w poprzednich listach, dołączył się jeszcze inny wzgląd nakazujący rozważne manipulowanie liberalnemi formułkami w społeczeństwie naszem.

Podobnie jak w całej Europie, tak też i u nas zaczęło się już budzić przeświadczenie, że liberalizm jest jedną z najbardziej zawodnych socyalnych teoryj.

Że w pewnym momencie dziejów oddał on niemałą Europie usługę, zaprzeczać mu tego nikt nie myśli. Dynamit, który rozsadza skałę dla przebicia tunelu, otwierającego nową arterję ruchu, jest przecie także rzeczą użyteczną. Ale nią znowu nie jest dynamit, służący do zbrodniczych zamachów, poddający społeczeństwo pod terrorystyczną władzę brutalnych indywiduów.

Porównanie to kuleje, jeżeli zechcesz ściśle się go trzymać. Ma jednak tę wartość, że pokazuje jak jedna i ta sama

rzecz zupełnie inny osiąga rezultat, gdy niewłaściwie bywa stosowaną.

Liberalizm był dobry, gdy wypadało burzyć za nadto wielką liczbę nagromadzonych wszelakiego rodzaju *des entraves sociales*. Stał się szkodliwym, odkąd spełniwszy swą burzycielską rolę, zechciał na stałe osiedlić się w społeczeństwie.

Organizm społeczny podobnie jak biologiczny potrzebuje podziału pracy. Wtedy tańszym kosztem i z większą chyżością osiąga najlepszy rezultat. Kiedy zatem narody europejskie żyły w ciągłych zapasach wojennych, a kraj nieustannie należało bronić od najazdów, wtedy podział narodu na klasę wojowniczą (szlachtę) i pracującą był nietylko usprawiedliwiony, ale tak potrzebny, że chyba jeno płytkie umysły mogą dziś z tego tytułu robić praojcom naszym jakikolwiek zarzut. Z pracującej klasy wyłoniły się z biegiem czasu dwie warstwy, mieszczańska i chłopska, pierwsza zajęta handlem i rękodzielnictwem, druga tworzeniem surowych materyałów. Stosownie do zasług, jakie każda z tych trzech warstw oddawała społeczeństwu i stosownie do ryzyka, na jakie się przytem wystawiała, wyposażoną była w przywileje.

Przerwiesz mi może w tem miejscu i zapytasz, po co Ci to wszystko piszę, wszak to stare i wszystkim znane dzieje.

Że stare — to prawda, ale że nie wszystkim znane, to przekonać się możesz co chwila, w pierwszej lepszej książce napisanej przez pierwszą lepszą liberalną głowę. Spotkasz się tam zaraz ze zdaniem, że „lud nasz trzymany w tysiącletniej niewoli etc“. Otóż jest to fałsz historyczny, bo przy społecznym podziale pracy tak samo chłop, który odbywał pańszczyznę, nie był w niewoli, jak nie był szlachcic, który nadstawiał swe życie w walce z wrogiem. Obaj spełniali przepisaną sobie funkcję społeczną i nie mieli zarówno sobie nic do zarzucenia, jak nie mają nogi głowie, że muszą tylko chodzić, gdy ona myśli.

Niewola się rozpoczęła dopiero odtąd, gdy ustały najazdy wraże i szlachta nie miała nic do czynienia, a jednak dalej korzystała z praw i przywilejów, przyznanych obrońcom ojczyzny. W owej chwili rozpoczął liberalizm swą pracę i z pożytkiem dla społeczeństwa począł ją prowadzić.

Po pewnej walce zrównał stany, zniósł wszystkie przywileje i w miejsce ściśle ograniczonych warstw, postawił równo-

wolnych i równoprawnych obywateli. Zadekretował, że głowa w tych samych ma się znajdować warunkach co ręce i nogi. Wszystko troje biedz może po drodze, która się nazywa konkurencyą, do wspólnej mety, która się nazywa sukcesem.

Domyślić się łatwo, co się stało w społeczeństwie, w którem w miejsce naturalnego podziału pracy, wyznaczono premię dla kapitału z jednej strony, a dla przewrotności i sprytu z drugiej. Nastała niewola ekonomiczna, bo pomimo równouprawnienia, jedni mieli wszystkie przywileje, nie ponosząc żadnych dla społeczeństwa ofiar, drudzy powołani zostali głodem do znoszenia wszelkich ofiar, bez żadnych natomiast przywilejów.

Odczuto niebawem ujemne strony takiego ustroju społecznego i poczęto szukać dróg ratunku. Znaleziono, a raczej wskazywano trzy. Jedni widzieli zbawienie w stosowaniu jeszcze szerszem i jeszcze radykalniejszem liberalnych formułek. „Zasadę konkurencji i mieszczącą się w niej premię, dawaną przewrotności, prowadźmy — mówili oni — do końca, do kresu logicznego myślenia, choćby do absurdum, a dopiero uleczy ona wszystkie słabości“. Tak mówiących mamy niestety w naszym kraju bardzo jeszcze dużo dotąd. Są to doktrynerzy, którzy wykształcili się za czasów okwitania liberalnych teoryj i odtąd nie postąpili naprzód.

Drudzy szukają ratunku w mrzonkach i utopjach, wysnutych z jednego tylko rozdziału socjologji, zwanego ekonomją polityczną. Podobni są oni do lekarza któryby organizm człowieka oceniał ze stanowiska wątroby lub żołądka. Ze wszystkich funkcyj życia socjalnego poznali tylko ekonomiczną, o niej jednej mówią, ją jednę przerabiają na wszystkie łady. Dla nich istnieje tylko stosunek pracy do kapitału, po za tem cała reszta: religja, sztuka, aspiracje polityczne, forma rządu etc., jest drobnostką, o której mówić nie warto, lub którą rozstrzygnąć należy według skrajnie liberalnych formułek. W tym punkcie ta druga grupa, a z niej mamy także sporo już okazów w naszym kraju, spotyka się z pierwszą, chociaż na polu ekonomicznem nadaje jej nazwę burżuazji i żywi do niej najżywszą nienawiść.

Wreszcie trzecia grupa, socjologów prawdziwych i rozważnych, obejmujących cały obszar funkcyj społecznych, tak z dzisiejszego jak i z historycznego stanowiska, przyszła do

przekonania, że tylko przez wytworzenie stosownego do teraźniejszych potrzeb podziału pracy i rozkładu przywilejów, odpowiedniego do usług oddawanych społeczeństwu, można dojść do zaradzenia coraz groźniej występującej chorobie socjalnej.

Nie mam miejsca i czasu rozwijać Ci obszernie poglądów tej grupy, której jednym z najwybitniejszych reprezentantów jest ks. kanclerz niemiecki. Zaznaczę tylko, że my jej winniśmy ustawę o lichwie, ustawę o pijaństwie i ustawę przemysłową, trzy olbrzymie szczerby dokonane w fortecznym wale liberalizmu. Za niemi pójdą niebawem inne, jak ustawa o przymusowej asekuracji robotników od wypadków i chorób, ustawa o pracy niewiast i dzieci, ustawa o przymusowem święceniu niedzieli etc. A z czasem doczekamy się ustawy przeciw pieniactwu, skazującej na karę każdego przegrywającego proces, ustawy o hygienie umysłowej, zapobiegającej wyuzdaniu prasy etc.

Owoż nasze społeczeństwo znajduje się już dzisiaj w tym stanie, że ma liberalizmu za dużo a nie za mało. Powodzenie żydów najlepszym tego dowodem. Zniszczony stan rolniczy, rękodzieła sprowadzone do fuszerki, miasta w upadku, nędza powszechna, oto są rezultaty stosowania u nas liberalnej całowej zasady: *laisser faire, laisser passer*, do wszystkich funkcyj życia ekonomicznego. Wyuzdanie prasy, rozbudzenie anarchicznych skłonności, rozjątrzenie warstw jednych na drugie, zdemoralizowanie polityczne wszystkich — oto następstwa stosowania jej do wszystkich funkcyj życia duchowego.

Nam pora zatem zatrąbić do odwrotu z tej liberalnej drogi, z której na szczęście już zeszliśmy, uchwalając ustawę przeciw lichwie, ustawę przeciw pijaństwu i ustawę przemysłową. Te trzy ustawy, których błogie skutki już się odczuwać dają, niech będą dla nas gwiazdą przewodnią w pracy około rozumnego organizowania naszej społeczności, nie według doktryn, ale według życia i jego potrzeb.

VI.

15 Marca 1884 r.

Przyrzekłem Ci pomówić o prasie, to jest o temacie, którego w prasie nigdy się nie dotyka, bo *on ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu.*

Trzeba na to — powiesz mi zapewne — wielkiej lekkomyślności lub niepospolitej odwagi cywilnej, by prasie rzucić prawdę w oczy. Możesz mi przypisać pierwsze z tych uczuć, bo drugie całym swoim ciężarem spadnie na moich lwowskich „najserdeczniejszych“.

Lecz w danym razie nietyle idzie o to uczucie, które pokieruje mem piórem, ile o sprawę społeczną. Zgodzisz się bowiem ze mną, że prasa odgrywa już dzisiaj ważną rolę w życiu narodowem, a z każdym dniem, w miarę jak promienie oświaty przenikają w coraz niższe warstwy społeczne, odgrywać będzie coraz większą. Szkoła — z kloców bezmyślnych tworzy stołowników restauracjom dziennikarskim. Skoro więc zakładamy szkoły i łożymy na nie milionowe sumy, to oczywiście warto się zastanowić nad tem, jaką ich pupilom podadzą strawę publicystyczne garkuchnie.

Ale aby ułatwić sobie rozbiór kwestji prasowej, musimy przedewszystkiem porozumieć się co do terenu, na którym staniemy.

Zapewne jesteś wielbicielem swobody prasowej, bezbrzeżnej, nieskrępowanej niczem, takiej, jaką Mill sobie wyobrażał, a której Rochefort stał się apostołem. Ta teorja jest dzisiaj jeszcze w modzie i ogół powszechnie ją wyznaje, bo mniema w swej również bezbrzeżnej naiwności, że krępowanie prasy, dajmy na to cenzurą, pozbawiać go może drogocennych myśli.

My mamy jednak pod bokiem kraj, zamieszkały przez rodzonych naszych braci, a posiadających prasę podległą cenzurze. Weźmy ich głowy i serca do psychologicznego laboratorjum i zbadajmy, a okaże się, że wszystkie te myśli tkwią w ich głowach co w naszych, tak naukowe jak estetyczne, tak polityczne jak społeczne. Co więcej — literatura tam właśnie kwitnie, a nie u nas, ruch wydawniczy tam znacznie większy, a dziennikarstwo o ileż od naszego przyzwoitsze.

*

Wielkim okrzyczałbym Ciebie, gdybyś znalazł w Galicji, z którejkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej najdrobniejszą myśl, którejby nie znano w Królestwie.

Więc może w sercach będzie jaka różnica?

Wielka nawet. Nie są tak zdemoralizowane, bo nie zaprawiano ich żółcią, nie karmiono paszkwilem. A wiesz dobrze, że paszkwil to jak fałszywy banknot: nie każdy odważy się go sfabrykować, ale mało znajdziesz takich, którzy dostawszy go przypadkowo w ręce, nie puszczą w dalszy obieg.

My dzięki swobodzie prasowej mieliśmy publiczne, przez władze tolerowane, fabryki tych fałszywych banknotów, a całe społeczeństwo zajmowało się zapewnieniem im kursu na towarzyskiej giełdzie.

Nie sądź jednak, żebym miał zamiar kruszyć kopię w obronie cenzury to jest instytucji, w której administracyjny urzędnik kreśli ołówkiem prace pióra. Bynajmniej! — Cenzura jest złą rzeczą, bo nie tylko jest na dowolności opartą, ale u podstawy nie ma rozumnej myśli, choć ma rozumną aspirację.

Mnie idzie o co innego, o to co Kościół przed wiekami ustanowił, co August Comte nazwał „hygieną umysłową“ *(hygiène cérébrale)*, a co ma za sobą aprobatę tylu znakomitych myślicieli i psychologów.

Zasada tej hygieny jest prosta. Umysł ludzki tak samo jak ciało podlega wpływom, od dobrych się rozwija a od złych — wypacza. Ma on zatem swoje zdrowe pokarmy i swoje trucizny. Jeżeli więc pracujemy nad osłonieniem ciała ludzkiego od trucizn, to z równą racją obowiązkiem jest naszym ochraniać od nich ducha.

Bo błędnem jest mniemanie, niestety dość rozpowszechnione, a nawet wprowadzone już do pedagogiki przez liberałów, że umysł ludzki ma przy całej swej wrażliwości jakąś metafizyczną bezwrażliwość na złe rzeczy. Mniemają pospolicie, że lektura utworów prawdziwie pięknych i dodatnich podnosi i uszlachetnia człowieka, a złych (to jest złej tendencji) i demoralizujących zaszkodzić może tylko już skądinąd zepsutym ludziom. Publiczność chętnie w to mniemanie wierzy i powiada: „Ja się od tego nie zepsuję“.

Owoż nieprawda. Trzeba bardzo rozumnego umysłu z jednej strony, a z drugiej trzeba jadu psychicznego podanego w bardzo ordynarny sposób, żeby rzeczywiście nie wywarł żadnego wrażenia. Tymczasem w życiu stosunek bywa najczęściej odwrotny. Fabrykant prasowego jadu postara się ukręcić z niego pigułkę ponętną, a prostaczy umysł połknie ją i przyswoi sobie. Jak mało jest ludzi, którzy nie są zdania ostatniej przeczytanej pracy!

Ale w takim razie — powiesz mi zapewne — czemże moja hygiena umysłowa różnić się będzie od cenzury? Jeżeli przepisy tej djetetyki ujęte zostaną w formę ustawy prasowej, to rzecz koniec końców tyle tylko zmodyfikowaną zostanie, iż miejsce urzędnika-cenzora zajmie paragraf, a miejsce dowolności, płynącej z chwilowych konjektur politycznych rządu, zajmie norma niewzruszona wprawdzie i stała, ale wcale jeszcze przez to nie dodatnia. Bo jakąż mi przeprowadzisz granicę pomiędzy pokarmem zdrowym a psychicznym jadem? Dla ciała to łatwo. Każda farmakopea ma w sobie litanję trucizn, zweryfikowaną krocie razy. Ale któż zbadał trucizny ducha? Alboż ma on swoję toksykologją? To co wczoraj jeszcze uważano za truciznę, za błąd, stało się dzisiaj prawdą niezłomną. Przy Twojej hygienie umysłowej Kopernik nie mógłby powstać, a Galileusz, Giordano Bruno...

Pozwól, że Ci przerwę, bo zaczynasz jak młody orator roznamiętniać się szumem własnych słów.

Zostaw w spokoju wszystkich Koperników, Galileuszów etc. bo o nich tu mowy w żadnym razie być nie może, a przejdź się ze mną chwilowo po polu dajmy na to psychiatrycznych studjów. I ot dla przykładu zechciej przerzucić prace kilku znakomitych psychjatrów, jak n. p. Maudsley'a, Lombroso *(L'uomo delinquente)*, Polettiego etc.

Z mozolnych i sumiennych ich badań dowiesz się, że znaczny procent zbrodniarzy wyucza się sposobu dokonywania zbrodni z dziennikarskich sprawozdań sądowych. Literalnie wszyscy galernicy, którzy czytać umieli, przyznawali się do tego, że zawsze z zapałem kultywowali literaturę sądowych spraw, a wśród tego czytania opis tej lub owej zbrodni tak im utkwił w głowie, tak podsycał ich wyobraźnię, tak maltretował ich duszę, że w końcu zdawało im się, iż jakby opętani zo-

stali i że przeznaczeniem ich jest tę samę zbrodnię tak samo wykonać. I tak się działo z lepszymi, którzy walkę długo staczali; gorsi i bardziej zepsuci, czytając sprawozdanie dziennikarskie, bili się ręką w czoło i mówili: „wyborny koncept!“ Zresztą przypomnij sobie świeże dzieje: Francesconi miał kilku naśladowców, którzy się otwarcie przyznali, że projekt zaczerpnęli z dziennikarskiego opisu.

Zgodzisz się więc zapewne ze mną, że mają rację wyżej wymienieni psychjatrowie żądać ustawy, zakazującej opisywania mordów i zbrodni i ścieśniającej w sposób rozumny dzisiejszą bezgraniczną swobodę prasy w podawaniu sprawozdań sądowych. Jakąż bo ideę ustawa taka przytłumi? — Ideę zbrodni.

Dałem Ci jeden przykład pospolitej demoralizacji, szerzonej przez prasę, ale podobnych mógłbym kilka podać, jak n. p. zachęcanie do gry loteryjnej; podniecanie chuci zmysłowych przez pornograficzne opisy i przez ciągłe wtajemniczanie publiczności w zakulisowe sprawy słynnych kurtyzanek i komedjantek; przyzwyczajanie jej do lekceważenia czci i dobrej sławy bliźnich przez ciągłe szafowanie paszkwilem, a tępienie w niej wiary w zacność i szlachetność przez podsuwanie ludziom, stojącym na widowni, najbrudniejszych motywów. Do demoralizacji szerzonej przez prasę wrócę jeszcze; tutaj zaś poruszyć muszę inną stronę kwestji prasowej.

Zechciej mi wytłumaczyć, dla czego zawód dzienikarski ma należeć do rzędu swobodnych zawodów, skoro inne, mniejszą rolę w społeczeństwie grające, ujęte są w regulamin ścisłej ordynacji? Aby zostać adwokatem potrzeba zdawać egzamina i odbywać praktykę; aby zostać dziennikarzem, dość być wykolejonym człowiekiem. Może powiesz, że wszelka ordynacja zamyka drogę talentom?

Owoż jest to gruby przesąd, którego już raz pora się pozbyć. Talent przebija wszelkie przeszkody, bo ma olbrzymią siłę pędu. Ordynacja zamknęłaby drogę do zawodu dzienikarskiego tylko tym indywiduom, których cała siła tkwi w braku wszelkiej wartości moralnej.

Przeczytaj sobie motywa, jakie podawano do nowej ustawy przemysłowej. Zaprowadziła ona cechową ordynację rozmaitych zawodów rzemieślniczych, dla tego, że wszystkie rękodzieła zeszły na fuszerkę. Swoboda dzienikarskiego zawodu sprowadza

to samo. W miejsce instytucji, mającej stopniowo kształcić społeczeństwo w rzeczach politycznych i socyalnych, w miejsce codziennych a drukowanych odczytów, popularyzujących naukowe zdobycze wszystkich gałęzi socyologji, dała nam wyroby lotne jak głupstwo, a trzymające się ziemi jedynie podsycaniem najujemniejszych stron natury ludzkiej.

Dziś, gdy już nie można kominiarzem zostać bez egzaminu i lat praktyki, gdy robią się usiłowania do zaostrzenia ordynacji adwokackiej, dla puryfikacji tego zawodu; gdy na każdym kroku społeczeństwo przychodzi do przekonania, że bezgraniczna swoboda i idąca z nią w parze konkurencja daje tylko premię złym pierwiastkom charakteru człowieka, dziś na serjo wypada pomyśleć o organizacji zawodu dziennikarskiego i oczyszczeniu go z indywiduów, którzy dla tego tylko w nim znajdują przytułek, że żaden inny nie chciał ich do siebie przygarnąć.

A nie zrażaj się do tego projektu, dla tego że Ci się może nowym wyda i że go dotąd nigdzie nie wprowadzono. Bo przedewszystkiem nie wprowadzono go dotąd nigdzie dla tego, że wszędzie liberalna doktryna panuje dziś nad umysłami; przedtem zaś usiłowano cenzurą zapobiegać wypaczeniom prasowym. Ale skoro liberalizm ustąpi z pola, a do cenzury jako do rzeczy nierozumnej nie będzie można wrócić, wypadnie więc z konieczności uciec się do tego środka racjonalnego, organizującego prasę odpowiednio do potrzeb społecznych i znoszącego ten stan dzisiejszej wolności, wychodzącej tylko na korzyść najbardziej zepsutych i wyuzdanych indywiduów.

VII.

17 Marca 1884 r.

Kto mówi wolność, mówi konkurencja. Bo druga nietylko jest wnioskiem pierwszej, nietylko się z niej rodzi, ale jest nawet jej korektywą i uzupełnieniem.

Rozumowano ongi w ten sposób.

Otwórzmy na oścież wrota wolności bez obawy, żeby złe pierwiastki, tkwiące w człowieku, zdołały z niej zysk dla siebie

wyciągnąć, albowiem wolność mieści w sobie cudowne lekarstwo na wszystkie słabości społeczne, a karę na wszelkie wypaczenia. Lekarstwo owo zowie się konkurencją i ma ten przymiot, że wszystko nieuczciwe tępi w człowieku, a podsyca i rozwija najszlachetniejsze władze jego umysłu i serca.

Popatrzmy na przykładzie. Dajmy na to, że ktoś zakłada fabrykę sukna. Ponieważ natura ludzka jest ułomną i w rzędzie swych wad mieści chciwość, przeto właściciel owej fabryki postara się według wszelkiego prawdopodobieństwa ciągnąć jak największy zysk z publiczności. Naznaczy sobie wysoki procent od kapitału, sowitą zapłatę za swą pracę, a grubą premią za ryzyko, — i stosownie do tego pocznie swe sukno drogo sprzedawać.

Ale jego powodzenie otworzy oczy innym kapitalistom i niebawem w sąsiedztwie powstanie druga fabryka sukna. Obaj właściciele poczną ze sobą konkurować, to jest biedz na wyścigi o zdobycie konsumentów przez obniżanie wszystkich owych trzech czynników, które podnosiły cenę sukna, to jest procentu od kapitału, w fabrykę włożonego, zapłaty za pracę i premji za ryzyko. Skutkiem ich walki sukno stanieje i stanie się dostępniejszem szerszemu kołu publiczności. Kraj przeto skorzysta, a i fabrykanci nie stracą, bo chociaż odtąd każdy z nich mniejszy zysk osiągać będzie z łokcia sukna, niż osiągał pierwszy fabrykant, gdy miał faktyczny w ręku monopol, to jednak wynagrodzi to sobie tem, że odtąd więcej swoich wyrobów sprzedawać będzie, albowiem obniżona cena sukna powiększy w kraju zastęp konsumentów. I kiedy przedtem utrzymywał się tylko jeden fabrykant, teraz już dwóch będzie dobre robiło interesa.

Po pewnym czasie powodzenie obu fabrykantów nakłoni znowu innych kapitalistów do wejścia w ich tropy. W sąsiedztwie tych dwóch fabryk powstanie trzecia, czwarta, dziesiąta, a walka między niemi wyjdzie znowu na ich własną i na społeczeństwa korzyść. Konkurencja mieści bowiem w sobie magiczną siłę, która wszystko ulecza, a dla natury ludzkiej najlepszym jest bodźcem.

Wprawdzie wszystkie owe trzy ekonomiczne czynniki, jak procent od włożonego kapitału, zapłata za pracę i premja za ryzyko, dadzą się obniżyć tylko do pewnego stopnia, który

rychło w walce konkurencyjnej osiągniętym zostanie, a po za którym jest już wyraźna strata i przeto kres konkurencji.

Ale od czegoż inwencja! W chwili, w której konkurencja dotrze do kresu ekonomicznych czynników, rzuci się umysł ludzki do wynalazków mechanicznych i chemicznych, a każdy z fabrykantów zacznie łamać sobie głowę nad tem, jak kosztowną siłę ludzką zastąpić o wiele tańszą pracą mechaniczną lub jak ułatwić sobie dowóz materjałów surowych lub jak te materjały lepszemi zrobić lub jak uczynić swój produkt najponętniejszym dla publiczności. Poczną więc wynalazki wyrastać jak grzyby po deszczu, bo dla inwencyjnych głów otwarta zostanie na oścież droga do odznaczenia się i majątku. Najmniejsze udoskonalenie w maszynerji, oszczędzające czy to czas, czy też opał, czy wreszcie siłę rąk ludzkich, da w walce konkurencyjnej przewagę temu, który je wynajdzie, a cóż dopiero wszelki pomysł wielki, genjalny! Ani starożytni na swych igrzyskach, ani wieki średnie na swych turniejach nie umieli tak wieńczyć swych bohaterów, jak my potrafimy na naszej przemysłowej arenie. Miljonami płacić będziemy za każdy postęp, bo każdy nam zaoszczędzi miljony czy to w pracy, czy w materyale, czy w czasie...

Ale nietylko na polu techniki i wewnętrznego urządzenia swych przemysłowych zakładów ubiegać się fabrykanci będą ze sobą o lepsze, lecz także i na polu zewnętrznem, to jest w wykończeniu swych fabrykatów i dostarczeniu ich konsumentom. Każdy z nich będzie się starał o to, aby jego produkt wyglądał jak najładniej, jak najbardziej odpowiadał gustowi publiczności i jak najwięcej podsycał jej estetyczne popędy. Przy równej cenie wolimy bowiem kupić rzecz gustowniejszą, wykończoną z większym smakiem i elegancją. Postęp na tem polu, dając premię temu, który najestetyczniejsze będzie tworzył produkta, oddziała z czasem na cały ogół i podniesie poziom jego estetycznego wykształcenia.

W dostarczeniu swych produktów konsumentom każdy z fabrykantów wysilać się będzie na przeróżne pomysły, ułatwiające im kupno a jemu odbyt. Więc przedewszystkiem otworzy kredyt na wielką skalę, i to głównie kredyt osobisty, przez co podniesie się moralność jednostek, bo nic jej tak w górę nie dźwiga, jak pokładane w niej zaufanie. Niewola ekonomiczna upadnie tym sposobem, bo ją głównie tworzy przewaga kredytu hipotecznego a więc rzeczowego nad kredytem osobistym, a więc jedynie

moralnym, bo opartym na dodatniej stronie charakteru ludzkiego. Człowiek zacny i prawy będzie mógł na hipotekę swej uczciwości zaciągać tak samo długi, jak inny na swe dobra ziemskie. Kredyt osobisty przy przemysłowej i handlowej wolności dojdzie do takiego rozwoju i znaczenia, jakiego nigdy przedtem nie znał, a zarazem nigdy tak wielkiej nie będzie się płaciło premji przymiotom dodatnim, rzetelności, sumienności, punktualności etc. Następstwem zaś takiego systematycznego podsycania tych czynników w charakterze człowieka, które jego piękną stronę stanowią, będzie podniesienie się poziomu etycznego całej ludności...

. . . .

Sądzę, że już pora urwać te rojenia, które swojego czasu tyle zwolenników jednały twórcom teraźniejszego liberalizmu. Bo i w samej rzeczy trudno, czytając podobne fantazje, wycięte jak gdyby żywcem z takich *Harmonies économiques* Bastiata, nie zapłonąć do nich admiracją. Jakże pięknie miał się świat uorganizować, jak harmonijnie miały się splatać interesa prywatne na kanwie interesu ogólnego, jak wszystko co dodatnie miało się rozwijać, a stłumiać to co ujemne! I to wszystko dzięki wolności bezbrzeżnej i wyłonionej z niej konkurencji! Któżby więc nie był za nią!?

Stało się tymczasem zupełnie inaczej. Zrazu konkurencja obniżyła w samej rzeczy przesadę w czynnikach ekonomicznych, w procencie od kapitału, w zapłacie fabrykanta za pracę i w premji za ryzyko. Niebawem jednak dotarła do kresu, po za którym następowała strata. Aby jej uniknąć, a jednak konkurencją dalej prowadzić, zaczęto się oglądać za innemi czynnikami. Teorja nakazywała naznaczyć w tym punkcie premję na inwencję i zachęcić tym sposobem do pracy wszystkie pomysłowe głowy. Ale wynalazki nie zawsze dopisywały lub nie mnożyły się tak szybko jak walne potyczki konkurencyjne na przemysłowem polu. Bo jakkolwiek potrzeba jest ich matką, jednakże i jej płodność ma swoje granice, zależne od postępów abstrakcyjnej wiedzy. Trzeba więc pierwej, aby uczony w swym gabinecie lub laboratorjum zrobił krok naprzód, zanim tę przestrzeń, zdobytą przez niego, obsiądą setki techników i wynalazców drugorzędnych wszelakiego rodzaju. A jeżeli żaden z uczonych tego kroku nie zrobił, cóż pocznie tymczasem przemysł? Czy

stanie, konkurencję zawiesi na kołku i czekać będzie, aż nauka nowe prawdy wykryje? Nie — pójdzie dalej kosztem innych czynników, koła swe posmaruje krwią ludzką, a premję wyznaczy oszustwu.

W pierwszym rzędzie pocznie obcinać zarobek robotników fabrycznych, w drugim silić się będzie na koncepta zastępywania właściwych produktów tańszemi surogatami. Ideałem dla każdego fabrykanta będzie zawsze dostarczenie towaru tańszego, chociażby posiadającego tylko pozornie te same przymioty, co wyroby konkurencyjnej fabryki. W oczach jego będzie miał równą wartość wynalazek moralny, oparty na lepszem zużytkowaniu sił przyrody, jak i niemoralny, wyzyskujący głupotę ludzką, — bo oba do jednego doprowadzą go celu. Fabrykant deseniowych perkali zapłaci temu chemikowi, który go nauczy jak drogą i dobrą farbę produkować taniej, taką samę premję, jaką temu, który mu poda sposób jak lichą i szkodliwą dla zdrowia ludzkiego zużytkować tak, aby właśnie robiła wrażenie tamtej, dobrej i drogiej.

A oba wyzyskiwać będą w równej mierze pracę rąk ludzkich, zastępując mężczyzn kobietami i dziećmi, jako robotnikiem tańszym, obniżając im wszystkim płacę, a powiększając liczbę roboczych godzin.

I dojdzie w końcu do tego, do czegośmy właśnie doszli, że wolność bezbrzeżna z swoją przezacną konkurencją stworzy taką niewolę, jakiej nie znały czasy feudalne. Miejsce dawnej szlachty i duchowieństwa, reprezentujące pewne wzniosłe i moralne zasady, zajmie spanoszona burżuazja, na poły żydowska, reprezentująca tylko siłę brutalną kapitału, pozbawiona wszelkiej wyższej myśli, nie mająca żadnych wzniosłych popędów, zmysłowa i ordynarna jak lud i goniąca tylko za zaspokojeniem swych chuci, tem silniejszych im w dłuższej były skrępowane niewoli.

Za podszeptem tych chuci pójdzie sztuka, dobierająca sobie coraz bardziej zmysłowych tematów, aż ugrzęźnie w najbrudniejszym naturalizmie. Za ich też podszeptem pójdzie rozum i silić się będzie z jednej strony na analizę i krytykę wszystkiego, co przeszłość zostawiła, tak jak gdyby podobne instytucje społeczne jak kościół, państwo, rodzina, oparte na afektach, można było rozumem analizować; z drugiej zaś na fałszowanie historji i paszkwilowanie wszystkich społecznych urządzeń przeszłości.

A całej tej rozczyniającej działalności czarnych duchów nowoczesnej cywilizacji poda rękę burżuazyjne dziennikarstwo i dzień w dzień śpiewać będzie hymny na cześć trzech haseł mieszczańskiej rewolucji: tej wolności, która stworzyła nam religję złotego cielca, tej równości, która równą miarę przykłada do nierównych ludzi i tego braterstwa, którego miljonowe armje są illustracją.....

VIII.

19. Marca 1884 r.

Umyślnie w poprzednim liście rozebrałem sprawę wolności i konkurencji. Uznałem, że to jest potrzebne, bo z uwag, jakie prasa liberalna robiła o moich listach, widziałem, że nie rozumie pobudek, które mnie do występowania przeciw liberalizmowi skłaniają. Sądziłem zrazu, że pobudki te muszą być wszystkim znane, bo w świecie ludzi nauki nie ma już dzisiaj nikogo, któryby stał jeszcze na stanowisku Bastiat'ów czy Mill'ów. Nie mogłem więc przypuścić, żeby koryfeusze liberalnego dziennikarstwa galicyjskiego byli ludźmi, którzy tylko innym postęp zalecają, a sami grzęzną w najgorszym konserwatyzmie, bo w starannem konserwowaniu swojej maluczkiej wiedzy. Okazało się jednak, że cały zastęp płytkich frazesowiczów nic zgoła o tem nie wie, co nauka nowego zdobyła.

Dla tego cały jeden list musiałem poświęcić opisowi tych rezultatów, do jakich doprowadziła wolność i idąca z nią w parze konkurencja.

Z listu tego skorzystam obecnie, aby wskazać główną przyczynę upadku prasy tak u nas, jak i w całej Europie. Mówić będę wyłącznie o naszej, bo ją znam najlepiej; zresztą wnioski, jakie wspólnie wyprowadzimy, dadzą się łatwo, bo z małemi zmianami, zastosować do innych krajów.

A uważam zasadnicze zbadanie tej sprawy tembardziej za ważne, że o ile mnie się zdaje, wychodzono dotąd z wręcz fałszywego stanowiska w ocenianiu choroby, która dziennikarstwo nasze trapi. Wszakże już nieraz tacy poważni mężowie jak Gołuchowski (reforma *Gazety lwowskiej)*, Ziemiałkowski, Sapieha,

Smolka etc., usiłowali podnieść poziom dzienników, ofiarowując na ten cel grube nawet kwoty Jednakże wszystkie ich lekarstwa, kosztowne wielce, spełzały na niczem, a to dla tego, że dotykały symptomatów, nie zaś źródła choroby.

Mniemają zwykle, że nasza prasa jest złą, przewrotną, płytką, lekkomyślną etc. bo wszystkie te wady tkwią w umyśle i sercu tych kilku jednostek, które opanowały teren prasowy. Słyszałem nawet zdanie, że dopóty dziennikarstwo nasze nie poprawi się, dopóki nie wymrze kilku najzjadliwszych szermierzy pióra. Owoż przeciw temu zapatrywaniu wystąpić stanowczo winienem, nie dla tego, żebym miał ochotę kruszyć kopię w obronie uczciwości, inteligencji lub honoru owych kilku indywiduów, lecz dla tego, iż uważam, że w tem rozumowaniu wzięto skutek za przyczynę, a rzecz podrzędną za główną.

Złych jest kilku i bez wykształcenia — to prawda. Ale mnie idzie o wykazanie, że sytuacja, stworzona swobodą prasową jest właśnie taka, iż gdyby nawet byli oni jak najlepsi, mimo to poziom dziennikarstwa naszego stałby nieskończenie nisko. W rzeczach społecznych rzadko kiedy winną jest jednostka, najczęściej zaś — ustawa. Źle ułożona i oparta na fałszywem rozumieniu natury człowieka, nietylko gromadzi jak najgorszych ludzi w tej dziedzinie pracy społecznej, którą ma regulować, ale nadto demoralizuje uczciwych, bo każe im szukać dla siebie premji w ujemnych duszy pierwiastkach. Zamiast więc je tępić, przyczynia się do ich rozwoju i wyrobienia. Tymczasem społeczną i filozoficzną racją wszelkiej ustawy jest właśnie podniecanie w człowieku tego, co jest w nim najlepsze, przez otwieranie na oścież podwoi dla uczuć dodatnich, a najeżanie wszelkiemi przeszkodami tej drogi, po której wiodłyby go uczucia ujemne.

A czyż mogła prowadzić do tego ustawa prasowa, oparta na rewolucyjnym dogmacie o wolności drukowanego słowa i zamierzająca korygować wypaczenia prasowe za pomocą owego uniwersalnego lekarstwa, zwanego konkurencją?

Rozumowano ongi w rzeczach prasowych, podobnie jak w przemysłowych. Swoboda i idąca z nią w parze konkurencja — mówiono — wydobędzie na jaw uśpione talenta, ułatwi im możność rozwoju, genjuszom da premję przed miernotami i dla literatury,

tak książkowej jak perjodycznej, otworzy wiek złoty. Jakżeż fatalnie się zawiedziono! Wiemy już dla czego dzięki onej konkurencji przemysł wypisał na swym sztandarze: „*schlecht aber billig!*“ Popatrzmy teraz jak pod wpływem jej prasa skopjowała dla siebie to samo hasło.

Dawniej wydawanie perjodycznego czasopisma, utrudniane na każdym kroku i połączone z wielkiemi materjalnemi stratami, stawało się pewnego rodzaju poświęceniem. Brali się więc do tego ludzie nauki i talentu pod wpływem nieprzezwyciężonej chęci rozszerzenia swoich poglądów i myśli. Skupiali dokoła siebie również ludzi rozumnych i utalentowanych i pracując nie dla pieniężnego zysku, ale w celu wyższym, tworzyli dzieła pełne zarówno naukowej jak i literackiej wartości. I to wartości nie chwilowej, ale trwałej. Prasowe utwory z poprzedniej epoki dziennikarstwa możesz jeszcze dzisiaj z przyjemnością i zajęciem czytać.

W dzień, w który ogłoszono swobodę prasy, literaci przyklasnęli nowej ustawie, mniemając, że wynagrodzi ich ona za tyle dawnych trudów, prześladowań i strat materjalnych; za tyle doznanych upokorzeń i ciężkiej biedy; za tyle walk stoczonych w warunkach nierównych z administracyą polityczną, cenzurującą uczucia i myśli. Spojrzeli na szeroki gościniec, otwierający się przed nimi, a prowadzący do sławy i zaszczytów, dawanych jako premję za talent i genjusz. I rozradowało się ich serce. Nie przypuszczali bowiem, że na tym gościńcu wyprzedzą ich geszefciarze wszelakiego rodzaju, ludzie pozbawieni i wiedzy i talentu, a mający albo odrobinę kapitału, albo dużo sprytu i obrotności, w obu zaś razach elastyczne sumienie i miedziane czoło.

Swoboda prasy zrobiła bowiem to, że wydawnictwo czasopism perjodycznych z aktu poświęcenia przekształciło się po zręcznem skombinowaniu z anonsami kupieckiemi w akt geszeftowy. Rzucili się więc do niego ludzie, których nazwiska nie są zapisane w annalach literatury, pospolici przemysłowcy i dla geszeftu a nie dla propagandy jakichś myśli, opanowali ów gościniec, który swoboda prasy otworzyła dla literatów.

Wszelako w intencji zrobienia dobrego interesu nie tkwi jeszcze nic złego. Byłoby nawet śmiesznem, gdybyśmy chcieli zarzucać ludziom zabiegi o geszeftowe wyzyskanie nowej gałęzi,

otwartej przez ustawodawstwo. Owszem, niech ją wyzyskują i robią majątek, byle pracowali sposobami, nieprzynoszącemi ujmy krajowi. Cóż złego, że ich imiona są obskurne i nieznane w literaturze, głowy puste a ręce do pióra niewdrożone. Mimo to mogą oni oddać usługę ojczyźnie, przez to, że połączą doświadczenie kupieckie i geszeftową biegłość z talentem zawodowych pisarzy i publicystów, pozbawionych zwykle wszelkiej umiejętności rachowania i liczenia się z groszem.

Ale niestety! jeżeli oni nawet mieli tak dobre intencje, to owa ukochana przez liberałów „konkurencja“ nie pozwoliła ich zrealizować.

Według wykazów administracyjnych wszystkich siedmiu pism naszych posiada Galicja 9200 osób prenumerujących dzienniki. W tej liczbie mieszczą się jednak i tacy, którzy prenumerują po kilka pism i przeto powtórzeni są we wszystkich lub prawie we wszystkich tych wykazach; są to zakłady takie jak np. cukiernie, restauracje, czytelnie, kawiarnie etc.; są nadto obywatele, którzy po parę dzienników prenumerują i przeto powtarzają się po dwa lub trzy razy w wykazach. Nie omylimy się więc zapewne, gdy powiemy, że Galicja liczy ogółem zaledwie ośm tysięcy osób, prenumerujących pisma, czyli innemi słowy, że gdyby w kraju naszym wychodził tylko jeden dziennik polityczny, to nie miałby więcej nad 8000 prenumeratorów. Cyfra ta, jakkolwiek maluczką wyda się Tobie, przyzwyczajonemu do ruchu dziennikarskiego zachodniej Europy, jednakże jest tak wielką w porównaniu z tym kontyngensem prenumeratorów, jaki w rzeczywistości ma każde z pism galicyjskich, że dla nich wydaje się jako niedościgniony ideał.

Ale bierzmy rezultat wykazów taki, jakim on jest, to jest z dubletami i trypletami. Mamy przeto 9200 osób i niemi obdzielić wypada siedm pism codziennych politycznych, cztery we Lwowie, a trzy w Krakowie.

Gdyby ten podział można było porówno przeprowadzić, toby jeszcze sprawa wyglądała jakkolwiek. Ale z owej liczby, *Gazeta lwowska* zabiera sobie *la part de lion,* bo teraz 2400, a za Łozińskiego czasów blisko 3000 prenumeratorów. Ponieważ jednak bierzemy pod rozwagę dzisiejszy stan rzeczy, więc od 9200 odtrąćmy tylko 2400, a pozostałą cyfrą 6800 prenumeratorów obdzielmy sześć pism galicyjskich: *Czas*, *Gazetę krakowską*

i *Nową Reformę* w Krakowie, *Gazetę Narodową*, *Dziennik Polski* i *Kurjer lwowski* we Lwowie.

Wypadnie więc na każde z nich po 1133 prenumeratorów. Rzeczywistość niedaleko odbiega od tej ilorazowej cyfry. Jest parę pism liczących nieco więcej niż półtora tysiąca abonentów,*) parę nieco więcej niż tysiąc, a dwa dzielą się pozostałą resztą.

Zajrzałeś już ze mną za kulisy dziennikarskie, od których wrota są zwykle szczelnie przed profanami zamknięte. Zechciej przeto towarzyszyć mi dalej. Podróżując za granicą, zwiedzałeś nieraz fabryki i rozmaite zakłady przemysłowe. Zechciej więc popatrzeć jeszcze jak wyglądają i układają swój bilans krajowe warstaty, na których się fabrykuje domowa opinja publiczna. A pamiętaj, że sposobność taka nie tak rychło nadarzy Ci się po raz drugi. Dziennikom wolno opisywać młyny, browary, fabryki maszyn, sukna, perkali i warstaty koronek; ale biada temu, kto się poważy ich własne tajemnice przed światem ogłosić! Więc korzystaj z mojej odwagi.

Dla nadania rachunkowi typowego charakteru, weźmy powyższą cyfrę średnią, zaokrągloną do wysokości 1200 abonentów. I przypuśćmy, że tysiąc jest z prowincji, po 2 złr. miesięcznie, a 200 miejscowych, po 1.50. Dochód miesięczny wyniesie tedy 2300 złr. Doliczmy do tego anonse przynoszące średnio 40 złr dziennie, a otrzymamy 3300 do 3500 złr. miesięcznego dochodu.

Teraz obrachujmy wydatki, ale dla uzasadnienia mojej tezy, że swoboda prasy i idąca z nią w parze konkurencja obniża dziennikarstwo i robi z niego wstrętny *geszeft*, podzielmy je na trzy kategorje, przyczem w pierwszej zamkniemy te wydatki, które są natury stałej; w drugiej takie, które cokolwiek można już zdusić i wreszcie w trzeciej takie, na których głównie odbija się wydawca przy walce konkurencyjnej.

W rubryce stałych wydatków pierwsze miejsce zajmują zecerzy. Zawiązawszy się w towarzystwo i dochowując ściśle

---

*) Według wykazów urzędu cłowego, Dziennik Polski stempluje codzień 1650 egzemplarzy, a Gazeta Narodowa dwa razy na tydzień, mianowicie w poniedziałek 5000, a we czwartek 4500 egz. Czasami jednak stempluje i we czwartek 5000. Owoż podzieliwszy cyfrę 9500 (a względnie 10000) przez sześć dni, otrzymamy dziennie 1580 (do 1660) egzemplarzy.

obowiązków solidarności, ustanowili oni taryfę, od której żaden z nich odstąpić nie może, chociażby nawet chciał. Grozi mu w takim razie kara ze strony kolegów, nietylko finansowa ale i innej nawet natury. Znany mi jest taki wypadek: — pewien lwowski drukarz zagroził swoim kilku zecerom, że ich oddali, jeżeli nie ustąpią z taryfy. Odpowiedzieli, że z przykrością będą musieli swe posady porzucić, ale ustąpić nic nie mogą. „Nas jest kilku, mówili oni, a wszystkich zecerów we Lwowie jest stu kilkudziesięciu; zabiliby więc nas, gdybyśmy ustąpili". Drukarz usiłował mimo to ich nakłonić, wzywał anonsami innych zecerów, aby się do niego zgłaszali, używał wszelkich fortelów i w końcu musiał ustąpić, a kontrakt z zecerami na podstawie taryfy odnowić. Na tej przeto rubryce, a wynosi ona około 1200 złr. miesięcznie, nic wydawca utargować nie może. Również porto pocztowe jest stałem, podobnie jak i stempel. Pierwsze tworzy dziennie 10 złr. (1000 zamiejscowych prenumeratorów) wydatku, drugi 12 złr. — Oba razem 550 złr. Dodajmy do tego papier, a otrzymamy 2000 złr. miesięcznych stałych ekspensów.

Drugą kategorją wydatków możemy przebiedz pobieżnie, podając dwie cyfry, to jest najniższą i najwyższą, praktykowaną u nas. Zaliczyć tu wypada telegramy (150—250 złr.), feljeton (120—150 złr.), korekta (60—100 złr.), lokal administracji i redakcji (60—100 złr.), kursa giełdowe (8—12 złr.), urzędnicy administracyjni, zbieracze anonsów, woźni etc. (150—200 złr.), opał, światło, prenumerata pism, przybory pismienne i inne drobne wydatki (50—60 złr.). Zesumuj te wszystkie cyfry, a otrzymasz minimalną kwotę 600 złr., maksymalną 870 złr.

Po potrąceniu zatem z dochodu (3300—3500 złr.) pierwszej (2000 złr.) i drugiej kategorji wydatków (600 do 870 złr.) zostanie na trzecią kategorję, to jest na redakcję, zaledwie siedmset złr. miesięcznie.

Na tej przeto cyfrze odbija się wydawca w konkurencyjnej walce. Gdyby chciał zaangażować prawdziwych publicystów, ludzi wykształconych, z poważnemi studjami i z talentem, musiałby wziąć czterech, pięciu, sześciu i dać im przynajmniej po 200 do 300 złr. miesięcznej pensji; to znaczy tysiąc złr. dopłacić miesięcznie z własnej kieszeni. Bierze przeto jednego rutynowanego publicystę, dodaje mu cały zastęp studentów, którym płaci po 40 lub 50 złr. miesięcznie i wyrabia w swym prasowym

warstacie towar niemający żadnej ani politycznej ani literackiej wartości.

Uważaj, jak na polu dziennikarskiem powtórzył się ten sam objaw, któryśmy powyżej na przemysłowem widzieli. Fabrykanci pod wpływem konkurencji uciekać się poczęli do angażowania kobiet i dzieci, jako robotnika tańszego; wydawcy lwowscy robią to samo. Dziatwę angażują jako tańszą siłę roboczą i jej powierzają prowadzenie polityki. Ów artykuł *Gazety Narodowej* z pierwszych dni marca b. r. rzucający błotem w Koło polskie, a który wszystkie poważne umysły w kraju tak wysoce oburzył, wyszedł z pod pióra studenta uniwersytetu!

Lepszego dowodu dla pokazania do czego konkurencja prowadzi zdaje się niepotrzeba. Jednak poproszę Cię jeszcze o chwilę cierpliwości. Mianowicie zwrócę Twoję uwagę na feljetony pism galicyjskich. Czy w którem z nich widziałeś pierwszorzędnych pisarzy naszych, Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Kraszewskiego, Z. D., Hajotę? *Czas* jeden miewa takie prace, ale też wszystko to, co powyżej mówiłem, nie stosuje się do niego. Wydawany nie w celach geszeftowych, ale dla propagandy pewnych idei, ma on zupełnie inny budżet, oparty nie na kupieckim rachunku, ale na ofiarności. Dawałem i ja w *Kurjerze* prace najznakomitszych naszych nowelistów, ale to dla tego, że postawiłem wydawcy za warunek, iż feljetony będą przezemnie wybierane. Reszta zaś pism galicyjskich drukuje najpospolitszą tandetę, pochodzącą z warstatów powieściopisarskich, piszących na łokcie, wprawdzie *schlecht* i bardzo *schlecht*, ale za to *billig*.

Na tem nie koniec. Wyzyskiwanie pracy dziecięcej, skoro się stało ogólnem, praktykowanem we wszystkich prasowych warstatach, przestało rychło być tematem konkurencji. Taniość lichych feljetonów, czy to oryginalnych, czy tłumaczonych, ma także swoję granicę. Praca nożyczek czyli przedrukowywanie innych pism nie da się również bezbrzeżnie stosować. Więc trzeba było wynaleźć coś innego do pokonania konkurentów.

I wynaleziono schlebianie panującym prądom i dominującym wadom społeczeństwa. Na tem polu rozpoczęto wyścigi, wyprzedzając się nawzajem w admiracji dla anarchicznych skłonności i w paleniu kadzideł na ołtarzu ludowej nienawiści do wszelkiej władzy i wszelkiego rządu. Przemysłowcy pod wpływem konkurencji zaczęli towarom swoim nadawać kształty i

barwy takie, jakie konsumenci lubią. Nie o estetykę im szło ale o schlebianie gustowi publiczności, chociażby on był ordynarnym i nieestetycznym. Podobnież postąpili wydawcy dzienników. Pod wpływem konkurencji poczęli podsłuchiwać aspiracje prenumeratorów, nie troszcząc się wcale o potrzeby kraju i o jego dobro, ale o ich gust. A że zawsze, gdy idzie o liczbę, potrzeba obniżać poziom, bo niewykształceni stanowią większość w każdem społeczeństwie; przeto wydawcy szukali dla siebie premji nie w podnoszeniu literackiem, socjalnem i politycznem swych pism, ale właśnie w dodawaniu im jak najwięcej przyprawy pieprznej lub stajennej. Nagrodę zdobywał ten, który najlepiej umiał odpowiedzieć żyłce opozycyjnej, który anarchiczną skłonność najlepiej ubrał w patrjotyczną szatę, który płytką krytykę ulicy zdołał najspieszniej przeobrazić w drukowane słowo. Wyścigi między wydawcami na tak pochyłej równi doprowadziły rychło, bo doprowadzić musiały siłą logicznego ciążenia, do zupełnego wyuzdania stylu, do tromtadracji w pojęciach i poglądach, do kłamstwa w zarzutach, wreszcie do paszkwilu i brudnych insynuacyj. To trudno, mój kochany, *on tombe toujours du côté où l'on penche,* mówi przysłowie francuskie.

Z sześciu naszych pism niezawisłych, jest tylko jedno, które prądom i wadom ludowym nie schlebia, lecz owszem karci je przy każdej sposobności, — i to właśnie to pismo, które nie zostało w geszeftowym założone celu. Ta diametralna przeciwstawność między *Czasem*, a pięciu innemi dziennikami, ubiegającemi się o prenumeratorów, powinna dać do myślenia każdemu, kto głębiej patrzy na rzeczy i przyzwyczajony jest docierać aż do przyczyn.

Zastanawiając się nad nią, musiałby wnet przyjść do przekonania, że zdrowemi nie mogą być te kuchnie, którym idzie i iść musi przedewszystkiem o zaspokojenie politycznego smaku publiczności i o schlebianie jej aspiracjom, bez względu na to czy te aspiracje wyłoniły się na tle prawdziwych instynktów społecznych i czy niemi kieruje wyższy polityczny rozum. Bo niech Cię to nie obałamuca zgoła, że tych kuchni jest aż pięć i że one wszystkie wskazują społeczeństwu naszemu te same drogi, polityczne i socjalne. Cały liberalizm, wraz z anarchją, do której zmierza, i z tromtadracją, którą wszędzie stwarza, nie staje się przez to wcale czemś lepszem, że go aż na pięciu fa-

brykują warstatach. Gdyby go fabrykowano na pięćdziesięciu byłby jeszcze gorszym, bo pod wpływem konkurencji odsłoniłby jeszcze więcej swoich ujemnych stron. Właśnie liczebność naszych liberalnych kuchni dziennikarskich przemawia na ich niekorzyść. Konkurencja prowadzi bowiem do tego, że im więcej jest fabryk jednego towaru, tem gorszy wszystkie produkują.

IX.

21. Marca 1884 r.

Znudziłem Ciebie zapewne temi szczegółami rachunkowemi, któremi naszpikowany jest ostatni list. Ale gdybym ich nie podał, nie uwierzyłbyś mi zapewne, że z powodów czysto konkurencyjnych, niezawisłych zupełnie od charakteru ludzi, biorących się do wydawnictwa dziennikarskiego, muszą wydawcy odbijać swe straty na tem właśnie, co jedynie stanowi wartość perjodycznego pisma — to jest na pracy politycznej i literackiej, na artykułach.

Zanotuj jednak przy tej sposobności, jak praktyka daleko tu odbiega od teorji liberałów. W formułkach swoich, robionych przy zielonym stoliku, twierdzą oni, że im lepszy towar która fabryka wyrabia, a sprzedaje go w tej samej cenie, co inne, wyrabiające towar gorszy, tem większy będzie miała odbyt. Tymczasem w życiu dzieje się zupełnie inaczej.

Między *Czasem* a lwowskiemi pismami nie ma i nie może być żadnego porównania pod względem wartości redakcyjnej. Język czysty, prawdziwie literacki, styl wykwintny, feljetony takie, jakie chyba wypadkowo mogą się raz na rok pojawić w tutejszych pismach, każdy artykuł polityczny, czy to kierujący, czy korespondencja, opracowany sumiennie i kuty na wszystkie cztery nogi; słowem w każdym niemal wierszu widać pióro ludzi rozumnych, a jednak *Czas* co do liczby prenumeratorów stoi na szarym końcu.

Bo publiczność nie na wartość towaru patrzy, ale na etykietę. *Czasu* prenumerować nie chce, gdyż w nią wpoiła tromtadracja przekonanie, że w każdym wyrazie znajdzie ukrytą zdradę. A spożywa go codzień w postaci przedruków pism

lwowskich, przedruków raz na dziesięć razy zaopatrzonych w dodatek „*Czas* donosi“, lub „do *Czasu* piszą“. W tych przedrukach nic oczywiście złego nie widzi; owszem znajduje nieraz, że są bardzo dobre, zwłaszcza wszystkie artykuły informacyjne, literackie lub naukowe. Mniema więc, że pochodzą z warstatów pism lwowskich, bo na prowincji *Czasu* zgoła nie widuje, a we Lwowie postarano się o to, aby go nie prenumerowały lokale publiczne. Tym sposobem tajemnica pochodzenia towaru jest zachowana, a cóż to kogo obchodzi, że *Czas* protestuje, gniewa się, nazywa wprost plagiatorami te pisma, które mu całe feljetony przedrukowują bez porozumienia się z autorem lub zacytowania źródła. *) Dla utrzymania tej tajemnicy pisze się tylko od czasu do czasu paszkwil jakiś na organ krakowski, obrzuca się go błotem i ciągnie się zysk ten, że publiczność i nadal posyła swą prenumeratę do warstatów lwowskich.

Są to rzeczy tak dla Ciebie nowe, że gotów jesteś posądzić mnie o przesadę. Wierz mi jednak, że jej tu nie ma ani na włos; przypuszczasz zaś jej istnienie dla tego tylko, iż od lat kilkunastu obrzucano systematycznie pismo krakowskie błotem i paszkwilem, tym paszkwilem, o którym Voltaire powiada, że „po pewnym czasie zostaje z niego nie cokolwiek tylko, ale wszystko“.

Pod wpływem oszczerstw etykieta *Czasu* została zdyskredytowana, a rozreklamowana etykieta pism tromtadratycznych. I dzięki tej reklamie będą one długo jeszcze panami targu. Mówiono mi, że jest w Galicji fabryka musztardy, która w kraju odbytu nie ma i cały swój wyrób posyła do Krems. Tam na flaszkach przylepiają etykietę i wysyłają napowrót do Galicji, a publiczność, opłaciwszy podwójny transport, rozchwytuje towar domowy i delektuje się „prawdziwą kremską musztardą“.

Ustępu tego o stosunku pism lwowskich do *Czasu* nie uważaj jednak wcale za jakąś dla niego reklamę. Ani on jej nie potrzebuje, ani mnie jego powodzenie prenumeracyjne zgoła nie obchodzi. Dałem go jedynie w celu zillustrowania na przykładzie teorji konkurencyjnej, będącej jedną z głównych podwalin liberalnej doktryny. A przykład to wymowny, świadczący bowiem, że w walce konkurencyjnej nigdy dobroć towaru zwy-

*) Wypadek ten był niedawno z *Gazetą Narodową*.

cięstwa nie przynosi, ale tylko taniość produkcji. Wyrabiaj najlepszy, idealnie doskonały, a możesz zbankrutować i niezawodnie nawet zbankrutujesz, jeżeli upodobaniom gminu schlebiać nie będziesz. Wyrabiaj lichy ale tanio, schlebiaj przytem dominującym w społeczeństwie popędom, a możesz być pewnym zwycięstwa.

Zrozumiały tę prawdę pisma liberalne i poczęły, nie troszcząc się wcale o wartość dziennikarskiego towaru, dbać tylko o to, aby wyrób jego był tani czyli, aby koszta utrzymania warstatu były jak najniższe. Wzięły więc, jak już powiedziałem dziatwę i jej pracą poczęły się utrzymywać w trudnych warunkach konkurencji.

Szkoda stąd dla kraju wielka, bo zabijanie talentów.

Wydawcy zaprzęgają oczywiście do pracy najzdolniejszą młodzież, albowiem z jednej strony najzdolniejsi, najwięcej oczytani, najbardziej przyzwyczajeni do myślenia i zastanawiania się, odczuwają w sobie pisarskie skłonności i zaczynają się garnąć do redakcyjnych warstatów; z drugiej zaś właściciele tych warstatów wolą za tę samę cenę zaangażować pióro lepsze niż gorsze. Tym sposobem człowiek młody, pełen zapału i wiary w przeróżne ideały, z inteligencją świeżą i żądną wiedzy, z sercem czystem, a ręką nieskalaną żadnym brudem, staje przy redakcyjnym stole i dostaje w rękę broń, stokroć straszniejszą od wszelkich pałaszy i rewolwerów, a którą można gorzej niż zabijać, bo oniesławiać.

Konstytucja jego jest nerwowa, jak każdego człowieka zdolnego, a temperament żywy, namiętny, podlegający impulsom zmysłowym, jak każdego człowieka młodego. Nie miał jeszcze czasu *tout connaître pour tout pardonner*. Kiedy kocha, to całem sercem, a kiedy nienawidzi, to całą wątrobą. A do nienawiści dostarczy mu zaraz materjału wydawca. Podsunie mu Sejm, Koło, Rząd lub zresztą pierwszego lepszego człowieka, który śmiał stanąć przeciw prądowi i którego spalenie na stosie może się podobać prenumeratorom. Da przytem instrukcję, opartą na długoletniem doświadczeniu w czynnościach autodaficznych. Młodzieniec bierze pióro do ręki, zaczyna pisać, rozpala się pod wpływem własnych słów, krew mu coraz obficiej przypływa do głowy, fantazja gra coraz silniej i w końcu nie on prowadzi pióro, ale pióro nim dyryguje. Skończył, a *maître-en-pages* za-

brał artykuł, bo w redakcjach lwowskich nie ma zwyczaju, aby ktoś kontrolował i odczytywał oddawane do druku prace.

Wieczorem artykuł wyszedł z druku i zrobił wrażenie w sferach kawiarnianych. Było w nim sporo zapału, werwy, młodzieńczego impetu, słowem talentu. Podobał się powszechnie, bo ujął powierzchownych czytelników zmysłową swą szatą i iskrą geniuszu czy może echem głosu, płynącego z głębi czystej i nieskalanej duszy. Widać było, że człowiek, który to pisał, wierzył w to, co pisał. Więc jego praca odbijała od szarego tła monotonnych, codziennych wyrobów starszych kolegów po piórze.

Autor stawał się bohaterem — kawiarni. Ludzie starsi ubiegać się poczynali o jego znajomość, rówieśnicy o jego względy, jedni z obawy, aby przeciw nim nie użył swego impetu, drudzy w chęci podzielenia się aureolą, otaczającą jego głowę. Wszyscy mu komplimentowali, a szum ich pochwał wypełniał go i rozsadzał mu mózg i serce.

Młodzieniec czuł, że był wielkim i był rad z siebie. W owej chwili, wdrożony jeszcze do pracy, byłby może starał się zostać jeszcze większym; więc byłby czytał, uczył się, uczęszczał na wykłady i w istocie z czasem został chlubą kraju, a w każdym razie jednym z jego najinteligentniejszych obywateli; ale demoralizujący przykład kolegów, ich życie kawiarniane, wieczory spędzane w teatrze lub za kulisami, noce w przeróżnych spekulankach i postribolach, wpływ alkoholu na młody organizm, słowem cały ten rodzaj życia, który dziennikarstwo lwowskie słynnym uczynił, popycha go na drogę, na której rychło porzuca wszelką pracę i tępi swój talent. Wyobraź sobie jak wyglądałaby Niagara, gdyby wyschły źródła dostarczające jej wody? A nasz młody publicysta nie był jeszcze dojrzałym człowiekiem, wyrzucającym z siebie kaskadę wiedzy. Był on zaledwie jakimś *soupçon* talentu, rośliną dopiero kiełkującą, której nie wolno wystawiać na marcowe wiatry politycznej i obyczajowej demoralizacji.

Czy mam Ci opisywać dalsze dzieje takiego młodzieńca? Opowiadać jak po kilku latach przekształca się on w rzemieślnika prasowego, w cynizmie dojrzałego zupełnie, wolnego od wszelkich przesądów (to znaczy ideałów), biegłego niepospolicie w ocenianiu wartości pewnych patrjotycznych frazesów i rzu-

cającego niemi ręką saltymbanka; patrzącego na świat, jako na wielkie dziecko, goniące za bańką mydlaną; nienawidzącego i pogardzającego swego wydawcę i z tego względu żywiącego admirację dla teoryj socjalistycznych?

Sądzę, że to zbytecznem, bo zapewne stykałeś się z tymi ludźmi i musiałeś, zajrzawszy do ich duszy, powiedzieć sobie: jakaż to szkoda dla kraju, że tak dobry i cenny materjał został tak zniszczony za młodu!

Szkodzie tej podwójną przyznasz wartość, gdy pomyślisz nad tem, że rozkładowe dążności liberalnej doktryny występują tem ostrzej, im mniej dojrzały umysł nią manipuluje. Podobnie jak rewolwer w ręku dziecka jest bronią straszniejszą, bo może być użyty w niewłaściwym celu; tak wszystkie rozczyniające tendencje liberalizmu są niebezpieczniejsze w ręku ludzi, którzy z powodu swojej młodości nie mogli jeszcze wielu uczuć, zwłaszcza wyższych, wyrobić w sobie; którzy na świat patrzą przez okna szkolnego gmachu; którzy stosunki jego redukują do najprostszych form, jakie poznali w swem krótkiem życiu; i którzy jedynie zmysłowym popędom, jako w nich dominującym najbardziej w tej epoce, przypisują realną siłę i wartość. Dla takiego młodzieńca nie ma znaczenia wszelka instytucja osnuta na uczuciu, którego on jeszcze nie doznaje, bo w tym wieku doznawać jeszcze nie może; wszelka zaś taka, która pęta nakłada jego popędom zmysłowym, w epoce tej najsilniejszym, jest już wprost instytucją szkodliwą. Rzuca się więc do ich burzenia z tym całym impetem, jaki wytworzyć może tylko młody organizm. I prawdę mówiąc, winić go za to nie możemy, jak nie poczytujemy to sobie za winę, że nie mamy tych pojęć i uczuć, które ludzkość za parę stuleci mieć będzie. Ale dla tego właśnie nie powinniśmy oddawać spraw publicznych w ręce dziatwy, tembardziej zaś nie powinniśmy robić tego, że nawet teoretycznie nie możemy jej wykształcić odpowiednio do powołania dziennikarskiego.

Nie wiem, czyś się nad tem zastanowił kiedy, wiem tylko to, że mało w ogóle dotąd zastanawiano się nad tą kwestją i że żaden z mężów stanu, jakkolwiek wszyscy oceniają potęgę prasy, nie zadał sobie trudu nad obmyśleniem regulaminu szkoły, kształcącej młodzież na publicystów. Postępują oni sobie w ten sposób co wydawcy pism lwowskich, którzy są np. zdania,

iż każdy co skończył średnie szkoły może być doskonałym krytykiem teatralnym. A jednak sprawa to ważna i warto byłoby, żeby jej rozbiorem zajęli się poważni mężowie.

Bo zważ tylko, że zawodem publicysty są nauki społeczne, skupione już dzisiaj w jeden kompleks, zwany socjologją. Owóż socjologja jest jakby koroną wiedzy ludzkiej, stoi bowiem na szczycie wszystkich nauk, na którym dawniej filozofja stała, z każdej z nich ciągnie dla siebie soki żywotne i przeto wymaga największej dozy przygotowawczych studjów. Można być biegłym astronomem lub chemikiem w dwudziestu paru latach, już trudniej być dobrym lekarzem, a niepodobna zgoła być socjologiem w tej porze życia.

Jest to zaś tem bardziej niepodobnem, że ani podręczników tej nauki nie ma dotąd, ani jej nie wykładają na żadnym uniwersytecie. Wszak ściśle biorąc jest ona kreacją ostatnich dni. Z całą ścisłością umiejętną nie zdołano nawet dotąd wykreślić jej granic. A te pojedyncze jej rozdziały, których uczą w głównych szkołach pod nazwą osobnych umiejętności, jak teorja prawa karnego i cywilnego, jak ekonomja polityczna, jak statystyka etc., to raz dla tego, że traktowane są odrębnie, bez związku z całą resztą socjalnych nauk i bez wspólnego z niemi punktu wyjścia, a następnie dla tego, że w ogóle nie są ani umiejętnie ani filozoficznie opracowane, nie tylko nie przynoszą żadnej korzyści, lecz najczęściej napełniają umysł szkodliwemi pojęciami. Żeby pokazać jak dalece są one nieopracowane umiejętnie, zacytuję choćby przyjętą powszechnie w Europie teorję prawa karnego, na którą tak i owak zapatrują się rozmaici kryminaliści, ale na którą się nie pisze ani jeden z psychologów i ani jeden z psychjatrów. Żeby zaś podnieść niefilozoficzne opracowanie tych nauk, radzę Ci spojrzeć na to jakiego dziwoląga zrobiono ze statystyki, ku wielkiej uciesze wszystkich powierzchownych umysłów, zadowolnionych z tego, że mogą każdy swój argument uzbroić w rzecz tak łatwą do spamiętania jak cyfra. I dziwna rzecz: cyfra, ta wszechpotężna władczyni w matematyce, a tracąca na znaczeniu w miarę postępowania w górę po drabinie coraz bardziej skomplikowanych nauk, zamiast zejść w socjologji do poziomu podrzędnego i bardzo problematycznej wartości wyrazu pewnych społecznych funkcyj, przywdziała znowu na się płaszcz królewski i w oczach tłumu jest argumentem

przekonywającej siły! Dopatrzono nawet w niej czy w wyrażanych przez nią społecznych funkcjach jakichś metafizycznych przymiotów i poczęto się bawić w tak pouczające kombinacje, jak n. p. między ilością oddanych na pocztę w ciągu roku listów a liczbą (nie listonoszów, tylko)... samobójców!

Dotknąłem tej sprawy, nie aby ją rozstrzygnąć, lecz aby Ci pokazać, że młodzież uniwersytecka, wstępująca do naszych redakcyj, chociażby najzdolniejsza, przygotowania naukowego nie ma i mieć nawet nie może. Staje ona wobec społeczeństwa i ma niem kierować, nie mając najmniejszego o niem wyobrażenia, nie wiedząc ani jakie są jego składowe elementa, ani jakie działają w niem prądy, ani które jego skłonności i popędy są natury dodatniej, a które ujemnej, które więc należy rozwijać i podsycać za pomocą odpowiednich ustaw, a które tępić i niszczyć. Staje z niepospolitą dozą zarozumiałości, z drobnemi wiadomostkami tu i ówdzie zebranemi, ale nie związanemi ze sobą żadną nicią logiczną, tworzącą z nich pewien systematyczny korpus naukowy, i z mnóstwem przesądów, ujętych w przeróżne liberalne formułki.

Tym przesądom, niezmiernie szkodliwym, bo właśnie rozkładowej natury, poświęcę trzy listy następne. Kończąc zaś niniejszy, zapytam Ciebie, czybyś człowiekowi posiadającemu odpowiednią odrobinę technicznych wiadomości, powierzył zbudowanie grobli w Twoim majątku, mostu na drodze powiatowej, młynu lub gorzelni? Czybyś lekarzowi, któryby z całej medycyny posiadał tylko kilka fizjologicznych przesądów i kilka admiracyj do niektórych toksykologicznych formułek, powierzył pielęgnowanie Twego zdrowia? Do każdej gałęzi usług społecznych wymagasz ludzi odpowiednio wykształconych, bo słusznie rozumujesz, że tylko w takim razie praca sumiennie i pożytecznie wypełnioną zostanie. Jedna tylko publicystyka ma stanowić wyjątek i ma się rekrutować bądź z indywiduów, których inne zawody wyrzuciły z siebie, bądź z dziatwy, którą niesumienni spekulanci przynęcają do swych warstatów zmysłowemi przyjemnościami zawodu dziennikarskiego!

A nie podzielaj tego mniemania, z którem u nas coraz częściej nawet poważni ludzie słyszeć się dają, że wpływ dziennikarstwa jest żaden i że przeto działalność jego, chociaż rozkładowa, nie przynosi jednak żadnej szkody. Mniemanie to stąd

bowiem urosło, iż przekonano się na niektórych specjalnych faktach o niepospolicie małym wpływie prasy naszej na bieg spraw publicznych. I tak n. p. zwłaszcza w ostatnich latach widziano, że Sejm lub Koło polskie w Wiedniu nie kieruje się wcale prądami w prasie występującemi; że Rząd nie zwraca na nią uwagi, że świeżo nawet Towarzystwo kolei Północnej nie uznało za potrzebne zamknąć jej ust, co niezawodnie dowodzić może już zupełnego jej zdyskredytowania.

Jednakże takie odosobnione fakta i to wzięte z dziedziny praktycznej polityki niewiele znaczą. Sfery polityczne muszą z konieczności rzeczy dążyć do wyzwolenia się z pod wpływu prasy, ale to tylko dla tego, że przyszły do przekonania, jak zgoła z tą kohortą rozkiełznanych umysłów i nienasyconych ambicyj iść ręka w rękę niepodobna. Ale ten fakt, że wyzwalając się same, pozostawiają ogół pod owym wpływem, nie świadczy wcale o ich przezorności. Albowiem chwilowo i w pewnej specjalnej kwestji może prasa zwycięstwa nie odnieść; jednakże *à la longue* i w rzeczach zasadniczych staje się ona panią terenu siłą tego prawa, które pozwala kroplom wody żłobić kamień.

Pamiętaj bowiem, że jad swój szerzy ona codziennie, bez przerwy, w dozach maluczkich, w artykułach wszelkiej kategorji, tak w dużych szpaltowych jak i w kronikarskich doniesieniach i albo obleka go szatą pozornego racjonalizmu, a przeto przez rozum, który ująć sobie zawsze najłatwiej, trafia do umysłu, albo dodaje mu przyprawy zmysłowej i przeto podniecając wszelakie chucie, toruje sobie drogę do serca.

Trzeba nadludzkiej energji umysłowej, dialektyki niepospolitej i ciągłej przytomności, żeby zawsze być na straży, zawsze być pochopnym do zanalizowania prasowych wyrobów i odrzucenia jadowitych. A czyż na 9 tysięcy prenumeratorów, a 100 tysięcy czytelników, dużo znajdziesz takich umysłów? Wiesz dobrze, że na 100 butelek wina jest 90 fałszywych i szkodliwych dla zdrowia; a przecie ani jednej w życiu swem nie zanalizowałeś, pomimo, że tu analiza jest bez porównania łatwiejsza. Nie analizujesz też nigdy wyrobów prasowych i pochłaniasz spokojnie społeczny jad. Przyjmujesz go codzień potrosze, przyswajasz

sobie niepostrzeżenie; zwykasz się z nim tak zupełnie, że w końcu wydaje Ci się on jako podstawowe Twoje własne myślenie. Po latach kilku jesteś zatruty, jak się o tem natychmiast przekonasz.

X.

23 Marca 1884 r.

Nie uznasz tego zapewne za naukową herezję, gdy powiem, że nowoczesne społeczeństwo zbudował Kościół na ruinach staro-greckiego i staro-rzymskiego świata. Zresztą, nie jest to wcale jakieś indywidualne moje zapatrywanie, ale naukowe twierdzenie, zweryfikowane już i skonstatowane przez cały świat uczony, na które się zarówno pisze Littré, szef szkoły pozytywistów (*„Les Barbares et le moyen-âge“*), jak i protestant Guizot, eks-liberał Taine i cały zastęp znakomitych historyków szkoły katolickiej. Naukową herezją byłoby, gdybym lekceważył działalność Kościoła i położone przez niego zasługi, a popełniałbym więcej niż herezją, gdybym odmawiał mu z jakich małostkowych stronniczych względów tej wielkiej kreacji, która po wszystkie wieki będzie przedmiotem admiracji ludzkiej.

W chwili, gdy starożytna cywilizacja, doszedłszy do ostatnich kresów swej twórczości tak w nauce, literaturze i sztuce, jak i w organizacji społecznej, stanęła u kresu swej drogi i dalej nic oprócz manowców nie widziała przed sobą; gdy jej instytucje zaczęły jedna po drugiej trupieszeć i skłaniać się ku upadkowi; gdy jej religje przestały karmić dusze i trzymać je w karbach moralności; gdy słowem wszystko zaczęło się wypaczać i wyradzać, a na domiar złego najazdy narodów barbarzyńskich poczynały dobijać dogorywający świat starożytny, wówczas w jego łonie, wśród ludowych warstw, tworzyć się poczęła zrazu drobna sekta, ale rosnąca z dniem każdym i brzemienna przyszłością, bo nietylko wyposażona we wszystkie najszczytniejsze przymioty ducha ludzkiego, jak w poświęcenie, pokorę, zapał, w przedziwną karność, w żelazną pracowitość,

w hygienę i djetetykę ciała, ujętą w silne reguły a posuniętą do takiego ideału, który w zachwyt musi wprawiać każdego lekarza, a w takie przemądre środki i sposoby do wyrabiania silnej woli, które po wszystkie wieki pozostaną wzorem do naśladowania dla psychologów i pedagogów; ale nadto wyposażona w wielką myśl społeczną, bo dążąca do kompletnej reorganizacji pracy ludzkiej. — Zniesienie niewolnictwa i przyznanie kobiecie praw i atrybutów człowieka, to dwa kamienie węgielne, na których chrześcijanizm oparł swój gmach nowego i odrodzonego świata.

Nie znam w dziejach ludzkości piękniejszego ustępu nad czwarte stulecie ery chrześcijańskiej; co więcej, nie znam ustępu, którego studjowanie przynosiłoby socjologowi większą korzyść. Badanie rewolucji francuskiej nie może w tej mierze wytrzymać najmniejszego porównania. Tak jak techniki budowniczej nikt się nie nauczy, przypatrując się pracy nad zburzeniem domu, ale jedynie śledząc za robotą murarzy i cieśli, wznoszących nowy gmach; tak socjolog nie odkryje wielkich praw organizacji społecznej ze studjowania ostatnich lat zeszłego stulecia, lecz jeno z wpatrzenia się w pierwsze wieki chrześcijaństwa, co najmniej od czwartego do dwunastego.

Tymczasem liberalizm idzie właśnie odwrotną drogą. Dla niego początkiem wszelkiej mądrości stanu jest rok 1789, chwila, od której datuje swoje istnienie i do której ciągle się odwołuje, która stała się nawet w jego oczach rodzajem zaklęcia, zamykającego usta wszelkiej protestacji. Oczywiście, że sądząc o społeczeństwie z owej chwili, i o składowych jego elementach z owego ich stanu, w jakim je zastał w dniu tej wielkiej *débâcle* dziejowej, ma o niem i o nich jak najfałszywsze wyobrażenie, wręcz przeciwne prawdzie.

I tak np. religja w oczach jego jest przesądem, a Kościół instytucją, skazaną na zagładę, którą co rychlej uprzątnąć należy. Mimochodem zaznaczę, że dojście do tego dziwnego wniosku ułatwiła mu wielce nieracjonalna droga rozumowania, polegająca na ocenianiu przyczyny ze stanowiska skutku. Śmiałbyś się z człowieka, któryby z powodu zamachów nihilistycznych potępiał chemję i pirotechnikę; a jednak nie śmiejesz się z liberałów, którzy z powodu nadużyć dygnitarzy świeckiego duchowieństwa wydali wyrok śmierci na religię. Bo tak Ty, jak i my wszyscy, jesteśmy już zatruci liberalizmem, krew nasza zakażona, a myśli

wypaczone zupełnie. Na stosunku naszym do religji wyjaśnia się to najlepiej.

Liberalizm, zabierając się ku końcowi zeszłego stulecia do zburzenia starego gmachu społecznego, przekonał się, że jedną z najsilniejszych jego podpór jest Kościół. Oczywiście więc objął go tą samą nienawiścią, jaką do całego gmachu pałał, a ponieważ nie znał i zresztą znać nie chciał, zasług, jakie kościół położył przy stworzeniu chrześcijańskiego społeczeństwa na ruinach starożytnego świata, przeto nie uznał za właściwe zastanowić się nawet nad tem, czyby nie było korzystnem zachować sobie tej podpory do nowej społecznej budowli. Przytem nie usposabiała go wcale do takich refleksyj zmysłowa filozofia XVIII stulecia, pełna materjalistycznych błyskotek, tak ponętnych dla umysłów powierzchownych, a tak potrzebnych do pracy rewolucyjnej. Wydano więc dekret, że kościół jest pasożytem społecznym, a religja — zbiorem przesądów.

Dekret ten poparła swoją powagą — nauka. Sądziła ona zrazu i za złe jej oczywiście brać tego nie można, a w każdym razie nie przydadzą się tu na nic rekryminacje — że aspiracje religijne płyną z refleksyj rozumowych, czyli, że są następstwem umysłowej potrzeby wyjaśnienia otaczających zjawisk. Człowiek potrzebuje sobie wytłómaczyć — mówili uczeni i filozofowie — dla czego deszcz pada, a słońce świeci i grzeje, skąd powstają zwierzęta, jak rosną rośliny, co sprawia, że on myśli, czuje i dla czego w końcu umiera; zjawisk tych wszystkich w sposób przyrodniczy wytłómaczyć sobie nie umie, więc stwarza teoryą teologiczną, która mu je wyjaśnia, apelując co chwila do sił nadprzyrodzonych. My mu podamy wyjaśnienie naukowe tych wszystkich rzeczy, więc tem samem uczynimy teologją zbyteczną, a więc i religję, a więc i kościół.

Z dekretem naukowym, skazującym religię na zagładę, jako zbiorowisko przesądów, i z dekretem politycznym, prohibującym ją jako jednę z najsilniejszych podpór dorewolucyjnego społeczeństwa, rozpoczął z nią liberalizm walkę i.... oparzył palce. Wypędził ją ze szkoły, odebrał jej niektóre najważniejsze akta społeczne, którym cywilny nadał charakter, usunął ją z miejsc takich, w których już wcale szkodzić mu nie mogła, jak ze szpitali, więzień i domów przytułku, zabronił jej nawet być dobroczynną; słowem pomimo całego swego liberalizmu był tylko dla

niej nieliberalnym, bo z szlachtą, inną podporą dorewolucyjnego społeczeństwa, obszedł się o wiele łaskawiej. Jedynie dla religji nie miał żadnych względów. Obdarł kościół ze wszystkiego wpływu na bieg spraw społecznych i politycznych, czyniąc państwo jego spadkobiercą, to państwo, które znowu za pomocą innych swych liberalnych koncepcyj i za pomocą zasady narodowościowej usiłował wszelkiemi siłami rozsadzić lub w autonomizmie rozczynić.

Oparzył jednak palce, jak powiedzieliśmy. Pomimo bowiem niesłychanie natężonej akcji, uposażonej w tak potężne środki, jakich starożytność nie znała (jak np. prasa), pomimo słabej kontrakcji, wywołanej upadkiem duchowym znacznej części kleru, nietylko nie zachwiał posadami kościoła, lecz przyczynił się nawet do ukoronowania jego żelaznej organizacji dogmatem nieomylności.

To fiasko liberalizmu, jakkolwiek niejeden z dziennikarskich ciurów wolnomyślnego obozu wcale go nie dostrzegł, dało sporo do myślenia przywódzcom. Zajęli się więc docieczeniem źródła tej siły, która kościół utrzymuje i nawet w bierności czyni tak silnym.

Dociekanie to nie zostałoby prawdopodobnie uwieńczone pomyślnym skutkiem, bo liberalizm, wychodząc z fałszywej podstawy, że religja jest zbiorowiskiem przesądów, kończyłby zawsze wnioskiem, że kościół jest armią pasożytów, i przeto zapalałby się tylko do ponownej walki; zatem dociekanie to nie doprowadziłoby do niczego, — gdyby kościołowi nie przyszła pomoc ze strony, z której najmniej mógł się jej spodziewać.

Psychologja na drodze czysto umiejętnych badań nad duchową organizacją człowieka doszła naprzód do przekonania, że religja nie jest wcale żadnem zbiorowiskiem przesądów, ale jednym z najpiękniejszych i najszlachetniejszych przymiotów duszy, że uczucie religijne jest równie silne i tak samo wrodzone w człowieku jak uczucie piękna, prawdy i dobra, że nawet jest koroną tych wszystkich dodatnich uczuć i najcenniejszym elementem duszy ludzkiej. Gdybyśmy mogli wyrzucić z nas to uczucie, to z człowieka otrzymalibyśmy naprzód domowe, a wkrótce potem dzikie zwierzę. Albowiem uczucie religijne w ciągu całego szeregu pokoleń rodu ludzkiego podsycało żądzę wiedzy i skłaniało do studjów w celu wykrycia pierwszej przyczyny i ostatniego

celu świata. Bez niego, nigdyby człowiek nie myślał o tych dwóch najwyższych zagadnieniach, do których umiejętność dosięgnąć nie może, a których istnienie odczuwamy tylko przy jego pomocy. Dla tego to Wundt, jeden z najznakomitszych współczesnych psychologów, jest zdania, że tylko krótkowidząca filozofia, skrępowana więzami przesądów metafizycznych, może poniżać religję lub dążyć do stępienia uczucia religijnego w człowieku, albo przypuszczać może, że okaże się ona zbyteczną, gdy nauki przyrodnicze dojdą do tego rozwoju, iż wyjaśnią wszystkie dokoła spotykane zjawiska. Stawianie nawet religji w takiej konkurencyjnej pozycji z przyrodniczemi naukami jest już pewną niedorzecznością, a w każdym razie zdradza płytkość sądu. Przyznaje bowiem temu, co jest podrzędne i co religijne uczucie objęło dla tego tylko, iż tak dominującym jest pierwiastkiem duszy, znaczenie rzeczy głównej i najważniejszej. Przyrodoznawstwo rozwijać się może niepospolicie, dojść do rezultatów, o których nam się nie śni nawet, powyjaśniać najbardziej skomplikowane fenomena, a jednak podstaw religji nie zachwieje, bo pierwszej przyczyny i ostatniego celu nigdy nie wyjaśni i przeto duszy ludzkiej nigdy nie zaspokoi ani jej nie dostarczy tego ukojenia wewnętrznego, jakie religia daje. To też z wyjątkiem umysłów, przesiąkniętych naukowemi przesądami lub zadowolnionych z swej płytkości, nie ma już dzisiaj wśród psychologów nikogo, ktoby nie był zdania, że religja jest najpiękniejszym przymiotem duszy naszej i zginie chyba wtedy z powierzchni ziemi, gdy umrze ostatni człowiek.

Psychologja była więc pierwszą z pomiędzy ścisłych umiejętności, która w oczach naukowego świata, przesiąkniętego przeważnie liberalnemi przesądami, zrehabilitowała religję. Ale podniosła ona tylko psychiczną jej wartość i wielkie zasługi w dziejach rozwoju umysłu ludzkiego; po za to nie wyszła, bo zresztą wyjść nie mogła. Pokazała wszakże, dla czego tak bezskuteczną była walka, jaką liberalizm wraz z swą metafizyczną filozofią wypowiedział religji. Bo skoro wykryła, że uczucie religijne jest wrodzone, silne i święte, to tem samem złożyła dowód, że walka z niem będzie bezpłodną, niepotrzebnie zużyje społeczne siły i w końcu doprowadzi do fatalnej porażki. Nie w mocy bowiem liberalizmu przekształcić naszej natury, człowieka żywego przemienić w manekina, wypchanego błyskotliwemi frazesami i for-

mułkami, kazać mu tylko myśleć o używaniu, zamknąć w ramach doczesności i wybić mu z serca aspiracje do wyższych celów i ideałów.

Dopiero socjologja nawiązała ten wątek, który psychologja urwała na granicy swej dziedziny. Wiesz zapewne o tem, że badania nad organizacją społeczeństwa wykazały, iż każde z dominujących w człowieku uczuć, przy pomocy odpowiedniego rozwoju umysłowego, stwarza w społeczeństwie odpowiednią dla siebie instytucją. Jak pierwszą przyczyną, która zrodziła w wyżej uorganizowanych społeczeństwach instytucję własności, jest uczucie głodu i pragnienia; jak na kanwie miłości rodzicielskiej utkała się instytucja rodziny; tak podobnież na tle uczucia religijnego powstał Kościół. Owoż odkąd psychologja pokazała czem jest uczucie religijne w organizacji duchowej człowieka, odtąd socjologja musiała Kościołowi przyznać odpowiednie stanowisko w organizacji społecznej. A uczyniła to tem chętniej, że ze studjów nad tak zwaną dynamiką społeczną, czyli historją, przekonała się jak ważną i jak pożyteczną odgrywał Kościół w dziejach rolę, jak zawsze był cementem, który społeczeństwo sprzęgał i od rozsypki zabezpieczał, jak nieraz, jak np. w chwili upadku starożytnego świata, on jeden uratował ówczesną cywilizację od zupełnej zagłady i przeprowadziwszy odrazu dwie największe w dziejach reformy, na nowych podstawach zbudował zupełnie nowy świat.

Świeże doświadczenia, zebrane z współczesnych dziejów, niemało także przyczyniły się do skłonienia poważniej myślących socjologów ku zawezwaniu obozu liberalnego do zaniechania tej dziecinnej a tak rozkładowej walki, wypowiedzianej kościołowi i religji. Przeczytaj jak Spencer ostro występuje w swojem dziele *Study of Socyology* przeciw tak nazwanej przez niego „antiteologicznej reakcji“. Podnosi on mianowicie to potężne znaczenie etyczne jakie ma religja i wykazuje, jak myli się obóz liberalny, mniemając, że jego formułki etyczne, osnute na abstrakcjach takich, jak utylitarność i przemawiające do umysłu, zdołają zastąpić przykazania religijne, przemawiające wprost do serca. Czyny nasze zależne są przecież bezpośrednio od uczuć i afektów; więc kodeks moralności, jeżeli ma być skutecznym, powinien wprost na afekta i uczucia działać, a nie przemawiać do rozumu i dopiero przez niego — do serca. Obierając taką objazdową

drogę, naraża się na to, że najczęściej za długi robi popas na stacji rozumowej; na tym popasie rozum analizuje formułkę etyki utylitarnej, zastanawia się, czy w samej rzeczy jest korzystną, krytykuje ją całą siłą djalektyki, przychodzi po chwili do przekonania, że utylitarność jej dość jest niejasną, gdy korzyść płynąca z czynu zbrodniczego jest tak wyraźną, że bije w oczy; rzuca więc dalsze badanie i decyduje się popełnić zbrodnię. Zważ, że podczas tego pobytu utylitarnej formułki na rozumowym popasie działa zwykle i działaniem swem rozumowanie wypacza jakiś impuls ujemny, jakaś namiętność, jakiś antysocjalny popęd; nic więc dziwnego, że staczając walkę nie z impulsem dodatnim, silnie przez religję wyrobionym, ale z refleksją abstrakcyjną, prawiącą o utylitaryzmie etycznych czynów, odnosi na 100 wypadków dziewięćdziesiąt dziewięć razy nad nią zwycięztwo.

Nie skończyłbym tego listu, albo musiałbym mu tomową nadać objętość, gdybym chciał wszystkie szczerby opisać, jakie w gmachu społecznym tworzy liberalizm swą walką z religją i Kościołem. A cóż dopiero w gmachu politycznym, ale tej kwestji dotykać nie chcę z dwóch powodów, raz dla tego, że kwestje polityczne, jako konkretne, zależne od chwili i sytuacji, i zmieniające się wespół z jej zmianą, ustępują z natury rzeczy pierwszeństwa przed zasadniczemi kwestjami, które postanowiłem w tych listach poruszyć; powtóre dla tego, że nasz liberalny obóz, chociaż nie w całości, chełpi się zwykle z tego, iż jest tak dojrzałym, że z czysto politycznych pobudek toleruje istnienie Kościoła. Tolerancja ta wybornie wygląda w obec faktu, że na polu społecznem, a więc u zasady, kopie pod nim dołki i pragnąłby go odsunąć od wszelkiego wpływu na bieg spraw socjalnych.

Ale już z tego, com tu powiedział, przyszedłeś zapewne do przekonania, jak wielce zatruwa nas wszystkich jad liberalizmu. Zajęty codzienną pracą, nie miałeś czasu śledzić za postępami oderwanych nauk; brałeś więc wiedzę stąd, skąd w XIX stuleciu biorą ją szerokie warstwy, — z dzienników, a w tych dziennikach spotykałeś się co chwila z czemś takiem, co miało na celu przytępić religijne uczucie lub wykazać niepożyteczność osnutej na niem instytucji kościelnej. I jestem mocno przekonany, że chociaż się nie zapisałeś do bezwyznaniowców, to jednak pod

wpływem silnej w prasie propagandy liberalnych formułek, mimowolnie przejęty i zatruty niemi, ani przypuszczałeś, żeby uczucie religijne stanowiło tak ważną część duszy ludzkiej i żeby osnuty na niem Kościół był z takim respektem przez socjologję traktowany. Ten liberalizm tak silnie Cię zatruł, że ślepy byłeś na fakt wielkiego znaczenia, który Ci codzień żydzi stawiali przed oczami, na fakt narodu, co się pozbył wszystkiego, ojczyzny, języka, czystości rasowej, obyczajów etc., a zachował tylko swą wiarę i z jej pomocą przetrwał tyle wieków bez zatracenia swej plemiennej odrębności. A fakt ten mógł Ci przecie powiedzieć, że religja i Kościół to coś głębszego, niż cała liberalna doktryna.

XI.

26 Marca 1884 r.

Czytając liberalne pisma nasze i widząc z jaką lekkomyślnością walą one oskardem teoretycznej krytyki we wszystkie społeczne instytucje, osnute na uczuciach, a więc na organicznych podstawach, a nie na doktrynerskich koncepcjach; widząc przytem tę pewność siebie, jaką zdradzają w tej burzycielskiej pracy; gotów jesteś przypuścić, że mają w pogotowiu coś lepszego, że na miejsce każdej starej cegiełki, którą wyrzucają z społecznego gmachu, wypaliły i przygotowały nową, zdrowszą, jędrniejszą. Nie może Ci się bowiem pomieścić zapewne w głowie, żeby ktoś zabierał się do rozkładowej pracy dla samej satysfakcji burzenia lub prawił narodowi, że go do radośnego celu doprowadzi, mając w swej torbie na całą drogę parę lichych naukowych przesądów, parę brudnych zmysłowych konceptów i parę zawodnych nadziei.

A jednak w torbie obozu liberalnego nic się więcej nie mieści. W poprzednim liście pokazałem Ci, jak wygląda jego przesąd, dotyczący religji i Kościoła. Dotknąłem tej kwestji, bo jest jedną z najważniejszych, a nawet bodaj czy nie najważniejszą; lecz gdybym nie pisał ulotnych listów, ale naukowy

traktat, obszerny i wyczerpujący, rozebrałbym po kolei wszystkie inne, więc mówiłbym o głównych przesądach liberalnych, dotyczących państwa, armji, wolnego handlu i wolności handlowania ziemią etc.; również *con amore* wziąłbym się do tych dziwolągów, które liberalizm stworzył pod nazwą „parlamentarnego systemu“, „sędziów przysięgłych“ etc. Są to bowiem wyroby, na które patrząc, umysł poważny nie wie co więcej podziwiać: czy płytkość tych, którzy nie mogąc sami nic stworzyć, wzięli partykularne koncepta angielskie i roznieśli po całej Europie, czy żywotność ludów europejskich, które potrafiły tyle lat je znosić bez pójścia w zupełną rozsypkę?

Ale miałbym żal do siebie, gdybym Ci nie pokazał rozkładowej pracy liberałów na jednym jeszcze przykładzie. Na nim bowiem pokaże się w całej pełni z jednej strony nieporównana płytkość ich myślenia, z drugiej ta gruba zmysłowość, czysto ludowa, jaka ich wszystkie roboty cechuje.

Jednym z najbardziej wypieszczonych i wychuchanych ustępów ich programu jest rozbicie rodziny. Zapewne czują oni instynktowo, że dopóki tej fortecy nie wezmą, załogi w pień nie wytną, a murów z ziemią nie zrównają, dopóty ich panowanie uwieńczonem nie będzie. Dość, że oblęgają ją nieustannie od stu lat, zakładają pod nią miny w postaci przeróżnych scenicznych wyrobów, dających się zszeregować pod generyczną nazwą „utworów szkoły konkubinatu“, zdzierają z niej sankcję religijną, szturmują ze wszystkich stron, słowem z nieustającą energją i wytrwałością pracują nad jej zburzeniem. Nie umiałbym jednak powiedzieć czy dla ułatwienia sobie tej pracy i zapewnienia zwycięstwa wypisali na swym sztandarze hasło fałszywe, czy też w prostocie ducha sądzą, że właśnie w tem swojem haśle streścili jądro sprawy; to pewna jednak, że nie mówią, iż im idzie o rozbicie rodziny, ale o rozwiązanie kwestji małżeńskiej.

Socjologja, jak już mówiłem, uczy nas, że na tle każdego dominującego uczucia, istniejącego w człowieku, wyrabia się odpowiednia instytucja społeczna. Rodzicielskie uczucia zrodziło tedy rodzinę, czyli instytucję, mającą na celu hodowanie i pielęgnowanie progenitury. Za nadto to bowiem wątła roślina, aby społeczeństwo jako całość mogło się zająć jej hodowlą; za nadto delikatna, aby ją narażać na mroźne podmuchy płatnych urzę-

dników. Przytem w rozwoju dziecka nietyle zależy na wykształceniu mózgu co serca, nietyle na naładowaniu umysłu pojęciami, co na cywilizacyjnem wyrobieniu uczuć i afektów. Nic łatwiejszego, jak zdobyć pojęcia; świadectwem tego są uczniowie z Afryki i Azji, kończący z celującym stopniem uniwersyteta zachodniej Europy. Natomiast nic trudniejszego nad wykształcenie uczuć, czego dowodem ci sami uczniowie, mający pod cieniuchnym europejskim pokostem cały organizm złożony z dzikich afektów. *Grattez l'epiderme...* a odsłoni się barbarzyńca.

Owoż dla wykształcenia uczuć powstała rodzina. Któż bowiem z większym zasobem ciepła przystąpiłby do ich edukacji, kto staranniej potrafiłby je rozwijać, ostrożniej i bez obrażenia dobrych, wypleniał złe, kto z taką ochotą brałby się do tej mozolnej pracy, wymagającej ciągłej baczności i natężenia, niefolgującego ani na chwilę, jeżeli nie ci, których sama natura do tego przeznaczyła? Rodzina nie jest więc ani kontraktem, ani inwencją czyjąś, ani instytucją, czerpiącą swą moc z jakiegoś dekretu, ale produktem tak samo naturalnym jak n. p. Kościół lub Państwo. Skoro człowiek, wyłaniając się ze stanu dzikości, doszedł do pewnego stopnia cywilizacyjnego rozwoju i zaczął pierwsze zakładać fundamenta pod gmach społeczny, natychmiast samo przez się powstała rodzina, a w miarę postępów cywilizacji tężała, bo sama do niej najwięcej przykładała rękę, robiła się jędrniejszą, bardziej spoistą, mniej pochopną do rozerwania i przez to mniej narażoną na rozkładową czynność czy to rozumu, czy namiętności. Najczęściej dla zaznaczenia swej spoistości starała się przybrać jednoimienną nazwę, czy to od strony męskiej (jak u nas), czy to od strony żeńskiej (jak u niektórych ludów amerykańskich i azjatyckich), a wszędzie i zawsze dla podniesienia swej społecznej usługi i zabezpieczenia się od ataków starała się o religijną sankcję.

Oprócz tej tak wielkiej pedagogicznej funkcji, jak kształcenie uczuć, ma ona jeszcze inne zadanie, które znakomicie spełnia. Mam mianowicie na myśli sprawę tradycji, to jest czynnika, którego celem ochronić społeczeństwo od bezustannych skoków to wprzód, to wstecz, od ciągłego burzenia zaledwie stworzonych instytucyj, od zmian raptownych tak w rzeczach socjalnych jak politycznych. Bez tradycji, każde nowe pokole-

nie miałoby zupełnie nowe aspiracje, zwłaszcza gdyby nie w łonie rodziny ale w szkole publicznej kształciło swe afekta. Najrozmaitsze doktryny, wyrastające na glebie każdej nowej tezy filozoficznej, przenikając do niedoświadczonego umysłu młodzieży, popychałyby ją do czynów reformatorskich z tem większą psychiczną siłą im mniej znajdowałyby oporu w niewyrobionej duszy, niezwiązanej ani z przeszłością, ani z teraźniejszością żadną nicią wspólnych uczuć. Czytaj biografje współczesnych anarchistów, a przekonasz się, że najczęściej są to ludzie, którzy w skutek jakichś wypadków wyrzuceni zostali za młodu z łona rodziny, przez to przerwali tradycyjne wychowanie i odtąd rozwijali się nieprawidłowo, bo kształcili przeważnie władze pojęciowe kosztem afektów; stąd następnie każdą instytucją społeczną oceniali nie sercem ale rozumem, i tam gdzie trzeba było kierować się uczuciem, szli za wskazówkami rozumowej analizy.

Ponieważ jednak pokolenia nie następują po sobie nigdy w ten sposób, żeby jedno wymierało całkowicie w oznaczonym terminie, a nowe zajmowało od razu wszystkie opróżnione posterunki, lecz zwykle łączą się ze sobą podobnie jak splecione palce dwóch rąk; przeto starsze pokolenie, nie chcąc się narażać na zawodne eksperymenta młodszego, musiałoby co chwila uciekać się do siły fizycznej dla poskromienia zbytniej jego gorączki w realizowaniu wyrozumowanych mrzonek. Poskramiana młodzież rozpalałaby się fantazją i dążyłaby do urzeczywistnienia swych teoryj, chociażby drogą gwałtu. Starszyzna, chcąc temu zapobiedz, uciekałaby się do jeszcze silniejszej represji; a rezultatem tego wszystkiego byłby szereg wstrząśnień, w których to jedno to drugie pokolenie brałoby górę, niszcząc wzajemnie swe siły i ustrój społeczny doprowadzając do zupełnego chaosu.

Tradycja zapobiega takiej dezorganizacji przez urabianie każdego nowego pokolenia na wzór i podobieństwo starego. Jest więc główną podstawą porządku, a przeto i głównym czynnikiem postępu. Jej bowiem zasługą, że krańcowe wywody rozumu nigdy nie jednają sobie zbyt wielkiego zastępu zwolenników, lecz natrafiając na afekta, wyrobione pod kierunkiem poprzedniego pokolenia, tracą swe ostrze, odsłaniają swe słabe strony, a chociaż nieraz porywają umysły młodzieży, rzadko jednak są w stanie zapalić jej serca. Dopóki zaś są tylko w umysłach, dopóty

niebezpiecznemi dla społeczeństwa nie są; w czyn nie przekształcą się, a w najlepszym razie będą tylko pojęciową gimnastyką, o której potrzeby codzienego życia rychło zapomnieć każą. Dla tego to społeczeństwo pielęgnujące starannie rodzinę mogłoby zaoszczędzić sobie kosztu rewolucyjnych wstrząśnień i utrzymywania licznej straży do śledzenia anarchistów.

Widzisz więc jak ważną instytucją w organizacji społecznej jest rodzina, jak święte jej zadanie i jak wielki z niej pożytek. Owoż małżeństwo jest tem jądrem czy ziarnkiem, z którego wyrasta rodzinna roślina. Ale już z powyższego przedstawienia rzeczy jasnem Ci być musi, że nie w małżeństwie jest cel małżeństwa, tylko w rodzinie, że więc ono samo dla siebie celem nie jest, tylko środkiem do dopięcia innego wyższego społecznego celu. Podobnie przeto jak agronom otacza swą pieczą ziarno rzucone do ziemi nie dla tego, aby jakiś do niego specjalny czuł afekt, ale przez wzgląd na tę roślinę, co z niego wyrośnie; tak również nie przez żadną szczególną admiracją do małżeństwa otacza je społeczeństwo najwyższą czcią i wyposaża przeróżnemi przywilejami, lecz jedynie przez wzgląd na tę tak cenną socjalną instytucją rodzinną, której ono jest zawiązkiem. Inaczej, to jest gdyby w małżeństwie widziało tylko małżeństwo, nie miałoby racji odmawiać równouprawnienia konkubinatowi i pozbawiać go tych jurydycznych przywilejów, które małżeństwu przyznaje. Ale ponieważ właśnie konkubinat nie daje mu żadnej rękojmi, że rodzinę stworzyć zdoła — mówię rodzinę, a nie progeniturę, to jest instytucję społeczną, a nie fizjologiczny skutek — nie daje mu także żadnej pewności, że na jego domowem ognisku zapłonie ogień dodatnich instynktów socjalnych, prawdziwie obyczajowych, przeto go poniża, potępia, sankcji religijnej mu odmawia i nietylko mu żadnych jurydycznych praw nie przyznaje, lecz w niektórych prawodawstwach wyrzuca go nawet po za paragrafy wszystkich ustaw. *La recherche de la paternité est interdite,* powiada kodeks francuski.

Tak na rodzinę i małżeństwo zapatruje się socjologja. Liberalizm zapatruje się oczywiście zupełnie inaczej. Będąc w całości swej, od *a* do *z*, produktem wysnutym z antispołecznej tezy, nie może on w niczem dopatrzyć głębszej myśli, nie może nigdzie odczuć socjalnej potrzeby. Złożony z mnóstwa teoretycznych formułek, najczęściej wyrobionych przez adwokatów

i ekonomistów, sądzi o wszystkiem, co w życiu spotyka, jako o formułce, naturalnie starej, przeżytej, świecącej staroświecką powagą, ale wewnątrz pustej i wymyślonej po to tylko, aby ktoś korzyść z niej ciągnął, a ktoś był wyzyskiwany. Jest to już właściwością adwokackich umysłów, że wszędzie widzą „dwie strony“, tam nawet gdzie jak w społeczeństwie jest jednolity organizm.

W małżeństwie nie dostrzegł więc liberalizm rodziny, jeno afekt zmysłowy, a więc spółkę dwojga osób, dla wzajemnego uprzyjemnienia sobie życia.

Rozumiesz dobrze, że z tak fizjologicznej podstawy nie mógł innych, jak fizjologiczne wysnuć wnioski. Utworzył więc sobie zmysłową teorję o szczęściu w małżeństwie i zamknął ją fizjologicznym wnioskiem o rozwodzie, w razie jeżeli to szczęście nie powstanie, lub w chwili gdy wzajemna sympatja zgaśnie. Więc podczas, gdy socjologja rozwód pragnie zupełnie wykluczyć, a nie chce rozwiązywać nawet bezdzietnych stadeł, dla tego, aby nic z powagi i świętości małżeństwa nie uronić i nie rzucić na nie najsłabszego fizjologicznego cieniu, najlżejszego nawet domysłu, to liberalizm gotów szafować rozwodem na prawo i na lewo, a ideał swój widzi w kontraktach terminowych lub w pornograficznych pomysłach, snutych na kanwie *du libre amour.*

Widzę jak w tem miejscu i prawdopodobnie w kilku poprzednich chciałeś mi zrobić zarzut, że niesprawiedliwie przypisuję liberalizmowi to, co już jest nie jego wyrobem, ale radykalizmu, socjalizmu, nihilizmu i anarchizmu. Owoż pierwej, nim go zrobisz, zechciej mi odpowiedzieć, czyś przestudjował wszystkie te doktryny po kolei i to nietylko przestudjował, ale je odczuł i przetrawił w sobie? Czyś siłą logiki szedł ciągle dalej i dalej, ze stopnia na stopień, aż doszedł do krawędzi anarchicznych przepaści? Zapewne nie, więc zechciej mi zawierzyć, że różnią się one od siebie tyle tylko co stopnie jednych wschodów, co odcienia jednej barwy. Jedno różowe, a drugie ponsowe, a trzecie krwiste. Ta sama charakteryzuje je zasada — negacja tego wszystkiego, co w społeczeństwie samorodnie powstało; tą samą walczą bronią — krytyką i analizą czysto rozumową; do tego samego dążą celu — do potworzenia nowotworów społecznych na tle wyrozumowanej doktryny. Cała między niemi różnica tkwi

w tem, że liberalizm był pierwszym etapem na tej drodze, na której radykalizm jest drugim, a socjalizm i anarchizm trzecim. A ileż za to wspólnych znamion, jak np. wspólnych sympatyj i antypatyj. Wszystkie trzy doktryny jednakowo walczą w imię swobody prasowej, w republice widzą idealną formę rządu, a są w admiracji dla bezwyznaniowości; wspólnie nienawidzą kościół i państwo, wspólnie pogardzają przeszłością i jej nie rozumieją, wspólnie myślą tylko o szczęściu jednostki a nie dbają o tej całości, której jest ona zaledwie komórką.

Zoolog, gdyby mu wypadło przeprowadzić klasyfikacją, powiedziałby, że są to trzy odmiany jednego gatunku, a już co najwyżej trzy gatunki jednego rodzaju. I dodałby, ku wielkiemu strapieniu liberałów, że każdy silniejszy umysł, konsekwentniej myślący, niezadawalniający się półśrodkami, dążący ciągle naprzód i naprzód dla zaspokojenia swych analitycznych pragnień, musi, wszedłszy do gatunku liberalnego, ocknąć się po pewnym czasie w gatunku anarchiczno-socjalistycznym. Poprowadzi go tam ta siła ciężkości, która tkwi w każdem logicznem myśleniu i umie je ściągać z stopnia na stopień.

Jakże w obec tego komiczne są te protestacje, jakie często spotykam w liberalnych organach naszej prasy, mające przekonać, nie wiem zaiste kogo, Europę czy obóz konserwatywny, że w naszym kraju nie ma żywiołów socjalno-anarchicznych! Byłoby to to samo, co gdyby te organa mówiły, iż nie ma u nas ludzi logicznie myślących i umiejących z danej liberalnej tezy wysnuć wszystkich — aż do ostatniego — wniosków. Łaskawi Panowie! nie wypierajcie się waszej progenitury, i nie starajcie się zapewnić nietykalności sobie kosztem waszej dziatwy, bo chociaż to może jest praktycznem dla was, lecz ani rozumnem ani szlachetnem nie jest. Owszem, patrząc na swych epigonów, zaludniających kryminały, zrozumiejcie, że są oni tymi pachołkami, którzy z pochodnią w ręku jadą przed waszym powozem i oświecają drogę przez was obraną. I wiedźcie o tem, że im więcej będziecie waszą antisocjalną doktryną burzyć organiczny porządek społeczny, tem więcej tej dziatwy krajowi dacie. Bo każda obalona instytucja społeczna otwiera dla wszystkich głów pomysłowych konkurs na wystawienie nowej, chociażby nie organicznej ale teoretycznej. Wy wprawdzie na nim zdobędziecie premję,

bo oportunizm jest waszym przymiotem: ale nie po waszej stronie będzie najkonsekwentniejsze myślenie. I anarchizm będzie z was śmiał się i z waszych protestów — bo *rira le dernier.*

XII.

29. Marca 1884 r.

Pokazałem Ci na stosunku liberalnej doktryny do kościoła, jak wyglądają jej naukowe przesądy, a na stosunku do rodziny, jak wyglądają jej zmysłowe koncepcje; zechciej teraz zobaczyć na przykładzie, jakiemi ona świat ludzi zawodnemi obietnicami.

Organizacja naszej duszy jest taka, że bez nadziei obejść się nie możemy. Teraźniejszość nigdy nam nie wystarcza, chociażby była najlepszą. Musimy zawsze wybiegać uczuciem w przyszłość, a za jego powodem kazać myśli rysować urocze jej obrazy. Psychologia powiada, że dzieje się to właśnie wskutek tkwiącego w nas uczucia religijnego, że ono to zmusza nas do rozrywania granic teraźniejszości w rzeczach zwykłych, codziennych, a doczesności w rzeczach wyższych, obejmujących całe istnienie człowieka. Liberaliści, chociaż negują religję, są jednak, podobnie jak wszyscy ludzie, jej niewolnikami i pod jej wpływem wybiegają także po za ramy tego co dzisiaj stworzyli, obiecując nam w przyszłości jeszcze piękniejsze rzeczy.

Jako czynnik materjalny, który wszystkie liberalne piękności ma na świat sprowadzić, jest *lud.* Zbierz sobie całą liberalną bibljotekę, wszystkie dzieła, broszury, programy, artykuły dziennikarskie, kandydackie mowy etc. słowem wszystką bibułę jaką liberalizm zadrukował, a w ostatnim wywodzie każdej jego elukubracji znajdziesz jako retoryczny bukiet, zamykający rzecz, a ręce czytelników czy słuchaczy składający do oklasków, następujący frazes: „Szlachta wypowiedziała już ostatecznie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Ale gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wywrze głęboki i dodatni wpływ na społeczeństwo. Z tej rudy najszlachetniejsze wytopi nam przyszłość kruszce“.

Weksel ten wystawiony na imię ludu znajdziesz wszędzie; wystawia go każdy liberał, a publiczności, pragnącej mieć choć jakikolwiek haczyk do zawieszenia swoich nadziei, każe go żyrować. Jednakże, żebyś mnie nie posądził o fabrykat lub fantazjowanie, spisałem powyższy weksel dosłownie z dzieła zbiorowego, wydanego w zeszłym roku z wielkim hałasem przez cały obóz liberalny na cześć jednego z naszych powieściopisarzy, mającego w oczach jego zasługę systematycznego rozpowszechniania liberalnych doktryn w swoich belletrystycznych utworach.

Więc lud, wypowiadając swe słowo, ma wywrzeć głęboki i dodatni wpływ na społeczeństwo, ma wytopić z swej rudy najszlachetniejszy kruszec. Byle tylko wzmógł się w dobrobyt i podniósł w oświacie!

Matematyka ma zwyczaj w miejsce nieznanych wielkości podstawiać znane i tą drogą rozwiązywać równania. Podstawmy i my w miejsce metafizycznego terminu, otoczonego przez poetów szkoły romantycznej jakąś mityczną aureolą, termin znany, prosty i trochę ordynarny, ale za to wolny od wszelkiej dwuznaczności, — w miejsce *ludu* powiedzmy *chłop*.

Więc ta siermiężna istota, gorzej niż pospolita, bo brutalna w uczuciach, a w myśleniu nie wychodząca po za ciasny zakres konkretności, o dzikich rysach twarzy, rozwiniętych szczękach a płaskiem czole, o przewodzie pokarmowym, przypominającym trawożerne zwierzęta, ma nam raj na ziemi stworzyć, najszlachetniejsze wytopić kruszce z swej rudy, byle tylko trochę obrosła w pierzę, miała kurę w garnku według recepty Henryka IV i dyplom w kieszeni z ukończonych szkół normalnych?!

Jako liberał, gotów jesteś oburzyć się na mnie za ten ton ironiczny, a jako człowiek, za lekkie traktowanie chłopa. Uwłaczam ludowi — powiesz. Bynajmniej, ale już tyle obóz liberalny nawymyślał szlachcie, że warto choć raz powiedzieć prawdę o ludzie. A będę ja mówił nie ze stanowiska szlacheckiego, bo mnie ono tak samo jak i ludowe zgoła nie obchodzi, ale z tego, które socjologowi jedynie przystoi, ze stanowiska nauki, suchej, zimnej, poważnej, zarówno dalekiej od płaszczenia się przed tarczą herbową jak i od palenia kadzideł przed idolami liberalnego kultu.

Żałuję tylko mocno, że przy całej paplaninie liberałów o oświacie, wiedza pod ich auspicjami niewiele się rozpowszechniła

nawet w ich kołach. I dla tego, chcąc coś naukowo traktować, trzeba co chwila poczynać „od jaja“, inaczej *on risque de ne pas être compris.*

Zaczynam więc od niego i przedewszystkiem notuję etnologiczny aksiomat, że miarą cywilizacji każdego kraju, a w kraju, każdej jego warstwy, jest stopień wyrobienia uczuć. Mówiłem już Ci w poprzednim liście, że w kwestjach cywilizacyjnych — pojęcia są rzeczą podrzędną. Można ich mnóstwo zdobyć, a mimo to być dzikim człowiekiem. Są one bowiem tylko rzeczą gimnastyki umysłowej, tak samo jak rzeczą gimnastyki palcowej jest biegłość w wirtuozowstwie fortepianowem. Znasz zapewne takich pianistów, którzy ten przymiot doprowadzili do ideału, a jednak, ponieważ grają bez czucia, nie wywołują żadnego efektu. Podziwiasz ich technikę i przypominasz sobie jak ktoś inny, z mierną biegłością ale z nieporównanie większem uczuciem, wywarł na Ciebie potężne wrażenie wykonaniem tego samego utworu, którego teraz słuchasz na zimno.

Z takich wirtuozów nie ma muzyka wielkiego pożytku. Najczęściej nic nie tworzą, a jeżeli ambicja popchnie ich na autorskie pole, to zasiewają je utworami kompilacyjnemi lub najpospolitszą banalnością. Dobrzy są jeno do układania ćwiczeń i do palcowania utworów innych mistrzów.

Również niewielki ma pożytek cywilizacja z ludzi, których uczucia stoją nisko, a których pojęcia wyhodowano sztucznie w cieplarniach uniwersyteckich. W organizmie człowieka musi być wszystko proporcjonalnie wyrobione, inaczej wielkiego skutku osiągnąć niepodobna. Geniusz, powiadają psychologowie, jestto istota, której wszystkie władze duchowe zostały rozwinięte harmonijnie, a więc prawidłowo i równomiernie. Albowiem nieproporcjonalne wykształcenie umysłu, bez odpowiedniego wyrobienia afektacyjnych władz ducha, prowadzi do tworzenia antisocjalnych doktryn, które manipulują ludźmi nie jako żywemi istotami, lecz jako manekinami wypchanemi pewną liczbą filozoficznych tez; wyrobienie zaś nadmierne uczuć bez odpowiedniego wygimnastykowania umysłu popycha ku afektacji, sentymentalności przesadnej i rzuca w końcu w objęcia mistycyzmu.

O to drugie, gdy mowa o ludzie, obawiać się nie ma potrzeby, ale tylko dla tego, że uczucia jego stoją jeszcze na bardzo niskim stopniu rozwoju. Weź wszystkie jego afekta, wyrażone

w obyczajach i zwyczajach, w pieśniach, w stroju, w metaforach mowy, w stosunkach wewnętrznych rodzinnych, w ulubionych zabawach etc.; weź je jednak z własnych spostrzeżeń lub z relacyj sumiennych badaczy, nie zaś z opisów poetycznych i powieściopisarskich, a przekonasz się, że w afektacyjnem życiu chłopa dominuje tak silnie brutalna zmysłowość, iż jedynie niepospolicie delikatną analizą zdołasz w akordzie najniższych popędów odnaleźć słaby i zaledwie początkujący ton wyższych pierwiastków.

Znasz zapewne podział uczuć, proponowany przed laty przez Comte'a, na altruistyczne i egoistyczne. Jest on chybiony pod wielu względami i nauka zaakceptować go nie może. Ale się utarł dziś powszechnie i więcej jest nawet znany, aniżeli inne klasyfikacje. Owoż według tego podziału każda z tych dwóch kategoryj uczuć dzieli się znowu na wyższe i niższe. I tak n. p. do wyższych egoistycznych należy przezorność, oszczędność, pracowitość, etc.; do niższych głód, pragnienie, lenistwo etc.; w skład wyższych altruistycznych wchodzą: solidarność, towarzyskość, litość, uczucia rodzinne etc.; w skład niższych stadowość, naśladownictwo, lubieżność i t. d. Weź tedy ten szablon pomimo całej jego niedokładności naukowej, i według niego zmierz duszę typowego chłopa, a przyjdziesz niezawodnie do przekonania, iż nie należy on wcale do istot wysoko w cywilizacji stojących, i że chcąc przeprowadzić naukową klasyfikację, trzeba go pomieścić o wiele niżej od postaci typowego szlachcica, rozumiem postaci rysowanej przez etnologa, a nie ręką liberalnego karykaturzysty.

I nic w tem dziwnego, owszem, odwrotny stan rzeczy byłby zagadką naukową. Wiekowe uprzywilejowanie musiało szlachtę wyrobić, stworzyć z niej, mówiąc zoologicznym językiem, rasę lepszą, szlachetniejszą, pełniejszą wyższych aspiracyj; a wiekowe upośledzenie nie mogło znowu wpłynąć uszlachetniająco na psychiczny rozwój ludowej warstwy. W to nie wchodzę, czy to było dobrze, czy źle, bo nauka bierze z życia fakta po to, aby je studjować i wysnuwać z nich prawa, a nie aby wyroki wydawać i dekreta pisać. Więc i ja konstatuję tylko fakt, że szlachta miała przez długi szereg pokoleń podnietę w socjalnych warunkach do wyrobienia w sobie wyższych uczuć i je wyrobiła; lud zaś jej nie miał, a ponieważ żaden skutek nie powstaje bez

przyczyny, przeto ich nie wyrobił. Dzisiaj zatem, mówiąc dalej zoologicznym językiem, przedstawia rasę niższą, brutalniejszą, w aspiracjach swoich czy to egoistycznych czy też altruistycznych stojącą na dolnym a nie na górnym psychologicznym pokładzie.

Więc gdzież pozytywny punkt oparcia dla liberalnej teorji, iż ruda chłopska wytopi nam najszlachetniejsze kruszce?

Ja go nie znam, a żaden liberał nie był tak otwartym, żeby zdradzić światu tę tajemnicę swej nauki. Wszyscy oni powtarzają zapamiętale frazes, iż słowo, które lud wypowie, stworzy raj na ziemi, a żaden nie zajął się zbadaniem, jakie są te przyrodnicze prawa i warunki, które przy genezie owego słowa udział brać będą i na jego treść wpłyną.

Pozwól mi wypełnić pozostawioną przez nich lukę i przyczynić się także cokolwiek do uwieńczenia liberalnego gmachu. Opiszę jak będzie wyglądało owo ludowe słowo, a do pomocy zawezwę naukę i współczesne dzieje, które już pierwsze jego zgłoski wygłaszać poczęły.

Wiesz już z powyższego, że lud jest brutalny i zmysłowy. Wiesz także z psychologji, że kształcenie i cywilizowanie uczuć odbywa się nadzwyczaj powoli. Całych stuleci potrzeba na podniesienie ich o odrobinę. Najlepszym dowodem odskok jaki warstwy wyższe zrobiły od niższych, odskok wprawdzie wielki, gdy się obie warstwy zestawi ze sobą i porówna afektacyjne ich wyrobienie, ale robiący wrażenie małej szpary, gdy się pomyśli, że na utworzenie jego pracowało tyle pokoleń i że w każdem pokoleniu składało się tysiące rąk chłopskich na wyhodowanie jednego szlacheckiego szczepu. A mimo to jakże często jeszcze wśród rodów szlacheckich, nawet utrzymanych w czystości krwi, występują atawistyczne okazy, przypominające brutalizmem chłopską naturę i według nauki świadczące, że odbyta droga nie jest zbyt wielką.

Nie wybiegnę więc po za sferę naukowej ścisłości, gdy powiem, że minie długi szereg pokoleń, zanim lud dojdzie do tego stopnia wyszlachetnienia uczuć, na którym dzisiaj stoi szlachta. Jest to przykre niezawodnie i nie potrzeba być liberałem, aby pragnąć szybszej cywilizacji chłopów. Trudno jednak zaprzeczyć prawdzie dla satysfakcji doktryny, lub dla jej pod-

trzymania łudzić się myślą, że liberalne pedagogiczne recepty zmienią organizacją natury człowieka.

W sferze pojęć zdoła lud szybsze zrobić postępy, ale tylko do pewnej granicy. Umysł jego przyswoi sobie wszystkie pojęcia oderwane z zakresu matematyki, astronomji, fizyki, chemji, biologji i socjologji, jakie już dotąd nauka wyrobiła. Ponieważ jednak tworzenie nowych, to jest ta operacja, która właśnie stanowi znamię genialności, wymaga harmonijnego rozwoju afektów i umysłu, przeto z „ludowych“ uczonych niewielki dla nauki powstanie pożytek. Nowych dróg nie wskażą nauce, a tylko stare potrafią konserwować. Będą klasyfikowali, robili drugorzędne i trzeciorzędne odkrycia i inwencje, aplikowali, eksperymentowali na zabój, zbierali materjały, słowem robili to, co w samej rzeczy od pewnego czasu robi świat uczony: rozwija konkretne nauki i doskonali technikę — mniej więcej pisze ćwiczenia i palcuje utwory starych mistrzów.

Tyle w sferze nauki. A w sferze literatury, sztuki, życia?...

Tam na skutek przewagi ludowych warstw dziać się będzie dalej to, co już właśnie dzieje się teraz. Brutalizm weźmie górę, bo chłopskie podniebienie potrzebuje ostrej przyprawy. Dla niego karesem jest szturchaniec pod żebra, obrazą honoru — dopiero stajenna impertynencja, jaskrawy kolor — wzrokową satysfakcją, baroccowa przesada — delikatną alluzją; dla niego szał pijacki — humorem, trywialność — dowcipem, ostry i krzykliwy kontrast — jasnem wyłożeniem myśli; dla niego zmysłowa metafora — szczytem abstrakcyjnego myślenia, a fotograficzna prawda konturów — estetycznem prawdopodobieństwem treści. Weź te reguły ludowej etyki, estetyki, retoryki, polityki etc., pomieszaj w odpowiednich dozach a będziesz miał dzisiejszą poezję, literaturę, sztukę plastyczną, scenę, prasę. Powiesz mi może, że powstają utwory według innych reguł budowane? Tak, to prawda, ale też nie zapominaj, że szlachta nie wygasła jeszcze. Jej delikatny gust daje się ciągle tu i owdzie odczuwać, ale zbadaj dobrze, a przekonasz się, że na tle jego tworzone dzieła sztuki lub układane formy życia nie znajdują u mas poklasku. „Ulica“ patrzy na nie, jako na wychuchane cieplarniane produkta i tak dalece piękna w nich nie widzi, że podejrzywa szczerość tych, którzy dla nich admirację żywią.

Więc jakże będzie brzmiało owo przepowiadane przez liberałów ludowe słowo?

Tak mniej więcej, jak brzmiało słowo barbarzyńców z pierwszych wieków naszej ery. Odrzuć szczegóły i filologiczne dodatki, a w obu pierwiastkach usłyszysz ton, tworzący analogiczny dyssonans z akordem współczesnej cywilizacji. Cała różnica tylko w tem, że tam dzikie narody dążyły z północy i wschodu, a tu nieokrzesane warstwy podchodzą z dołu; i że tamte zaledwie znały stadową organizację hord koczowniczych, a te już mają wyrobione zawiązki mnóstwa socjalnych instynktów. Lecz jak wtedy, po zmieszaniu dzikich tłumów z garstką rozbitków rzymskich, poziom cywilizacji to jest stopień wyrobienia uczuć spadł nagle i dopiero po kilku stuleciach doszedł do tej wysokości na jakiej stał w czwartem; tak również i teraz aliaż społeczny złożony z nielicznej szlachty i licznego chłopstwa przechyli się ku strawie zaspokajającej jego brutalny apetyt. Będziemy mieli i z resztą już mamy, bo lud swoje słowo wypowiadać już począł: w sztuce naturalizm, w literaturze pornografią, na scenie wyuzdanie zmysłowe, w prasie paszkwil, we wszystkich sprawach społecznych—analizę płynącą z wielkiego wybujania pojęć na tle mało wyrobionych uczuć, we wszystkich zaś sprawach politycznych — pochylanie głowy przed brutalną przewagą liczby.

To trudno, mój przyjacielu, flaszka węgrzyna, rozpuszczona w beczce deszczówki, da Ci wodę, nie wino.

XIII.

1 Kwietnia 1884 r.

Dotknąłem głównych punktów liberalnej doktryny i o tyle, o ile w listach ulotnych można było wtłaczać się w ramy systematyczności, starałem się być systematycznym. Nie możesz mi więc mieć za złe, żem muskał tylko rozmaite kwestje, a nie opracowywał ich tak głęboko i szczegółowo, jakby wypadało w traktacie naukowym, że wielu rzeczy nie omówiłem wcale,

że słowem nie napisałem podręcznika socjologji. Odpowiedź prosta: nie wytknąłem sobie tego celu, jakkolwiek rozumiem wybornie, że byłoby to bardzo wdzięczne zadanie, a dobrze spełnione, mogłoby przynieść niepoślednią korzyść. Literatura nasza naukowa ma w tym punkcie lukę, a stąd młodzież musi z konieczności karmić się tylko płytkiemi wyrobami liberalnych garkuchni, z każdem pokoleniem tracić coraz bardziej poczucie socjalnej organizacji, wchodzić w skutek tego na coraz fałszywsze polityczne tory i albo w rewolucjonizmie i perjodycznych wybuchach widzieć wszystką mądrość stanu, pod naiwnym pretekstem, że to ducha narodowego pokrzepia; albo zwątpiwszy w całą tę tromtadratyczną teorję, zniechęcać się do wszystkiego co jest wyższe i bądź w zmysłowych przyjemnościach głuszyć głos sumienia, bądź rzucać się w ramiona radykalizmu i socjalizmu.

Podręcznik socjologiczny przydałby się więc bardzo, zwłaszcza dla tego, że przemawiając do młodzieży z naukowego stanowiska, działałby wprost na jej pojęcia, a więc na tę władzę, w której jest siedlisko liberalnej choroby i którą kierować o wiele łatwiej, niż afekta. Naukowe stanowisko miałoby także to za sobą, że imponowałoby młodym umysłom. Faktem bowiem jest, że dzisiaj, po obaleniu wszystkich powag, zrównaniu z ziemią wszystkich tych autorytetów, przed któremi gięły kolano poprzednie pokolenia, dwa tylko czynniki posłuch znajdują: siła brutalna i naukowy wywód. O pierwszą postarają się ci, co dzierżą władzę nad nami; natomiast ster drugiego powinniśmy wziąć w nasze ręce, bo koniec końców ten społeczeństwo poprowadzi za sobą, kto umysłami młodego pokolenia kierować potrafi.

Ale chcąc niemi kierować, trzeba do nich przemawiać ich ęzykiem, eksperymentom przeciwstawić eksperymenta, skalpelowi skalpel, krytyce powierzchownej krytykę poważną, a metafizycznej doktrynie ściśle umiejętny wywód. Do głów zarażonych liberalizmem i wyćwiczonych tylko w analizie mówić językiem niedostępnym, w którym wietrzyć będą przesąd, jest to z góry pracować nad rozpędzeniem własnego audytorjum.

I bodaj czy nie zły wybór języka był jedną z przyczyn jego smutnego faktu, że rozumne teorje polityczne coraz mniej w ostatnich czasach zaskarbiały sobie popularność w społeczeństwie

naszem. Świadectwem rok 1863. Wszak pomimo namiętnej walki, jaka w ciągu tych dwudziestu lat toczyła się w prasie, najzdolniejsi pisarze obozu rewolucyjnego nie zdołali udowodnić pożyteczności ostatniego powstania, ani nawet nie wskazali środków do zagojenia ran, krajowi zadanych. Mówili wiele o swej miłości do kraju, poświęceniu i bohaterstwie; wszystkim wadom narodu bili na zabój oklaski; schlebiali szowinizmowi; w prasie galicyjskiej znęcali się nad Rosją, a w prasie warszawskiej znęcali się nad Austrją, od czasu do czasu bawili się w dyplomatyczne konjunktury, które nie rozumowi ale fantazji politycznej autorów mogły zaszczyt przynosić; słowem fabrykowali to, co się nazywa „kwaśnym patrjotyzmem“, ale ani razu nie potrafili naukowo udowodnić, że kraj z wznieconego przez nich wybuchu w 1863 roku odniósł jakąkolwiek, chociażby maluczką korzyść. Tymczasem coraz wyraźniej zarysowywać się począł fakt, że za ten rewolucyjny eksperyment naszych liberałów wypadnie nam pozbyć się na zawsze kilku najpiękniejszych prowincyj.

Należało więc wnosić, że opłaciwszy tak drogo liberalną doktrynę, kraj ją porzuci a przechyli się na stronę tych, których przestrogę potwierdziły dwudziestoletnie dzieje. Tembardziej, że byli to ludzie godni ze wszech miar szacunku, bo nietylko mieli rozum stanu po swojej stronie, ale i poświęcenie, wcale nie mniejsze od poświęcenia rewolucjonistów. Wszak występowanie przeciwko swoim, narażanie się na paszkwile i sztylety zapaleńców, było zawsze dowodem wyższej odwagi cywilnej, niż walka z obcym.

A jednak w którym obozie kraj stoi? Nie w poważnym, tylko w tromtadratycznym. Pięć pism liberalnych na jedno konserwatywne najlepszym tego dowodem. A dla czego? Bo obóz konserwatywny nie chce zstąpić z swych wyżyn i przemówić do młodzieży tym naukowym dialektem, który ona dzisiaj jedynie rozumie i który jedynie trafia do jej umysłu, wyćwiczonego w krytyce i analizie.

Nie myśl jednak, żebym przeceniał znaczenie takiego podręcznika. Jedną książkę nikt społeczeństwa nie zbawił, chociaż udawało się nieraz w porę wydanem dziełem skierować na inny tor opinię publiczną. Kilka takich faktów mógłbym z dziejów literatury przytoczyć, ale musiałbym je wszystkie zaczerpnąć z tej epoki, kiedy ludzie czytali jeszcze książki. Dzisiaj wyda-

wane są one dla szczupłego grona poważnych umysłów, ogół zaś czyta tylko dzienniki. A ponieważ nie w naszej mocy zmienić jego upodobanie, przeto nie pozostaje nam nic innego jak tylko pójść *au devant de ses désirs*, zwalczać liberalne teorje na drodze dziennikarskiej i na niej popularyzować naukowe socjalne prawa i poglądy.

Rozwijać praktycznie tę myśl byłoby może zbytecznem. Jeżeli Cię przekonał teoretyczny wywód, jeżeli w tych kilku listach zdołałem dość silnie naszkicować szkody, jakie liberalizm nam przynosi, a znowu korzyści, jakie przyniosłoby nam szerzenie rozumnych socjalnych teorji, cementujących ten gmach społeczny, który on rozsadza w spółce z tradycyjnym naszym anarchizmem; to oczywiście potrafisz sam wytknąć praktyczną drogę postępowania według wskazówek owej teorji. Im prędzej do tego przystąpisz, tem więcej, rzecz prosta, wyratujesz osób, zarażających się już liberalizmem tak w warstwach wyższych jak i wśród młodzieży; tem przytem lepiej wyzyskasz zupełne zdyskredytowanie się ludzi, stojących dzisiaj na czele liberalnej prasy.

Żeby jednak nie powiedziano, że rzucam myśli dla efektu, a nie dla wprowadzenia ich w życie, pokażę Ci jeden z praktycznych sposobów zreformowania naszej prasy.

W tym celu muszę jednak poruszyć sprawę organu urzędowego. Jestto bowiem instytucja, która w walce dodatnich żywiołów socjalnych z rozkładowemi mogłaby pierwszym wielkie oddawać usługi, tymczasem żadnych niemal nie oddaje. Dla czego? Zaraz się dowiesz.

Musiało zapewne nieraz i Tobie nasunąć się na myśl pytanie: dla czego *Gazeta Lwowska* nie ma żadnego wpływu w kraju? Bo mówmy otwarcie: wpływu ona nie ma, na szali wypadków nie waży, nikomu zgoła nie imponuje, nawet nie umie skupić do koła siebie ludzi jednoimiennej zasady. Ma wprawdzie największe grono prenumeratorów i czytelników, a jednak znaczenia nie ma żadnego a w prasie nie odgrywa żadnej roli. Co więcej, ma uprzywilejowane stanowisko, a bytu zapewnionego nie ma. Zmień redakcję w pierwszem lepszem lwowskiem liberalnem piśmie, usuń skompromitowanych figurantów, daj przyzwoity ton i wykwintną stylistykę, włóż nieco publicystycznego talentu, którego żadne z nich nie ma,

*

przekonaj w końcu publiczność, że do paszkwilu się nie zniżysz i że człowiek wykształcony może bez obrazy uczuć i umysłu czytać Twój organ, a chociażbyś w liberalizmie dotarł do ostatnich kresów, możesz być pewnym, że w ciągu roku odbierzesz *Gazecie Lwowskiej* połowę prenumeratorów.

Chcesz na to dowodu? Najlepszy Ci dostarczę z własnego doświadczenia. Wszak *Kurjera* postawiłem kosztem urzędowego organu. Z szczupłemi materjalnemi zasobami, a więc bez możności rozwinięcia tych działów, które jak telegramy, korespondencje etc. są w piśmie politycznem nieodwołalnie potrzebne, zdołałem odciągnąć od *Gazety Lwowskiej* w ciągu pół roku kilkuset prenumeratorów. I pamiętaj, że ci prenumeratorowie, opuszczając organ urzędowy, ponosili dość znaczną materjalną stratę. Musieli opłacać cenę prenumeracyjną wyższą, a dostawali w zamian mniej zadrukowanej bibuły. Mimo to zdecydowali się porzucić *Gazetę Lwowską,* tak mało snać zaspokajała ona ich pragnienia, tak wątłą wiązała ich ku sobie nicią.

Bo i czemże mogła ona ich przywiązać? Przecież nigdy nie bywa w kraju ani myślami ani uczuciami swemi, z prądami nurtującemi w naszem społeczeństwie nigdy ani nie sympatyzuje ani nie walczy, nie stara się prostować naszych błędów, ani wskazywać nam dróg postępowania, nie pragnie zaspokajać naszych umysłowych potrzeb, nie myśli o nas, ani za nas, ani dla nas. Obrała sobie mieszkanie w Galicji, ale mogłaby równie dobrze zamieszkać w Portugalji, na wyspach Sandwiczych lub w Honolulu, bo również nie czyniłaby zadość potrzebom tamecznych społeczeństw. Dawniej miała na czele pierwszorzędny talent literacki, który jej urok pewien nadawał, otaczał jej firmę aureolą, a tu i ówdzie przebijał wśród szpalt; miała przytem w łonie redakcji dzielnego publicystę, znakomitego znawcę spraw krajowych, człowieka z sądem wytrawnym i niepospolitą jasnością stylu; dzisiaj zeszła na stopień zwykłego referatu, wykonywanego z tą nieporównaną obojętnością, jaką tylko biurokratyzm wytworzyć jest w stanie. Istnieje więc siłą inercji, nadaną przez poprzedniego redaktora i istnieć będzie dopóty, aż powstanie we Lwowie przyzwoity organ polityczny, czy to konserwatywny czy też liberalny. Bo o barwę polityczną nie idzie tu wcale, tylko o przyzwoitość. Publiczność przenumeruje *Gazetę Lwowską* nie dla jej barwy, bo w niej żadnej dopatrzyć niepodobna, tylko dla przyzwoitości, która jeno we Lwowie

może wyróżniać to pismo z szeregu innych dzienników a która polega na tem, aby nie pisać stylem stangretów, nie wygłaszać zbyt krzyczących niedorzeczności naukowych i paszkwilem nie wojować.

Przypatrz się bliżej jej układowi. Na czele, po nominacjach wszelakich, obchodzących nas o tyle tylko o ile są galicyjskie, a nieobchodzących nas zgoła, gdy dotyczą innych prowincyj Monarchji, masz wstępny artykuł, według szablonu liberalnego (!) wykrojony, a traktujący o jakiejś sprawie francuskiej, angielskiej, portugalskiej, egipskiej etc., słowem o sprawie, która nikogo w kraju nie interesuje, a która nadto opracowana jest tak płytko i powierzchownie, bo z trzeciej lub z czwartej ręki, że nawet jako materjał etnograficzny przydać się nie może. Następnie idą tak zwane w dziennikarstwie „rubryki", zależne od wypadków i sytuacji politycznej, więc np. „Posiedzenie Kortezów", „Opis bitwy pod Suakimem", „Zdobycie Bac-ninhu", „Sytuacja armji Mahdiego", „Jeszcze o armji Mahdiego" i inne tym podobne wysoce pouczające rzeczy. I wyobraź sobie, że sytuacja jest taka: kraj roznamiętniony do najwyższego napaściami liberalnych organów na Koło polskie i na gabinet, a *Gazeta Lwowska* zamiast nawrócić opinję publiczną, wykazać błędy w rozumowaniu liberałów, niesumienność w ocenianiu sytuacji, płytkość w sądzie etc., zamiast wzburzone umysły uspokoić, zachwiane wzmocnić, a przeciwników do rozwagi zmusić, prawi publiczności „Jeszcze o armji Mahdiego" i „Jeszcze o zdobyciu Bac-ninhu". Jestem mocno przekonany, że gdyby *Gazeta Lwowska* zajmowała się krajowemi sprawami i w każdej kwestji, czy to socjalnej czy politycznej, następowała na pięty liberalnych organów, to ani one nie poważyłyby się tak cynicznie propagować anarchji, ani publiczność nie garnęłaby się do nich z takiem zaufaniem. Bo rzecz jasna: dzisiaj w przedstawianiu organów liberalnych widzi każdy projekt rządowy z odwrotnej strony i w karykaturze; a nie słyszy wcale obrony, gdyż organ urzędowy zamiast spełniać swą powinność sposobem dziennikarskim, to znaczy dzień w dzień i wśród ciągłej polemiki, zamieści zwykle jeden tylko artykuł, przysłany z biura prasowego, a potem na zabój z niemieckich pism tłómaczy „Jeszcze o armji Mahdiego" etc. Nic więc dziwnego, że ogół wbrew własnemu interesowi zapala się nienawiścią do takiego nawet ministerstwa jak gabinet hr. Taaffego

i zaczyna podejrzywać dobrą wolę posłów, użyczających mu swego poparcia.

Ale patrz dalej. Skończyły się „rubryki“ i zaczyna się kronika. W dobrze redagowanem piśmie, kronika jest jednym ze znakomitych instrumentów propagandy. Czyta ją bowiem każdy, nawet kobieta, dziecko, służba. Więc prowadząc ją zręcznie, ze stylową werwą i literacką okrasą, można pod banderą pospolitych codziennych wypadków przemycać idee wyższe, wzniosłe, szlachetne, zachęcać ogół do rzeczy pięknych i moralnych, podsycać w nim aspiracje dodatnie, a tępić szkodliwe. Zrozumiały to pisma liberalne i ich kronika jest zwykle uzupełnieniem wstępnych artykułów, przygrywką anarchiczną. Popatrz zaś na kronikę *Gazety Lwowskiej.* Po paru urzędowych doniesieniach, idzie zwykle raport policyjny, po nim zapowiedź mających się odbyć posiedzeń rozmaitych towarzystw, ale nigdy sprawozdanie, następnie rzeczy tak zajmujące i moralizujące ogół jak np. „Straszna zbrodnia“, „Okropne morderstwo“, „Podejrzany pies“, „Wielka kradzież brylantów“, „Straszna katastrofa“, „Widownią okropnego wypadku etc“. Ręczę za to, że w ciągu tego roku, kiedy musiałem z obowiązku czytać codzień ten tak nudny organ, nie było niezawodnie na całej kuli ziemskiej ani jednego morderstwa, ani jednej zbrodni i ani jednej kradzieży, którejby opisu nie podała *Gazeta Lwowska.*

Dalej już idą pod nazwą „Ostatniej Poczty“ przekłady z *Morgenblattów* wiedeńskich pism, które publiczność stołeczna przeczytała z rana, a więc na kilka godzin przed wyjściem *Gazety Lwowskiej* — i w końcu telegramy.

Oto zwykły numer urzędowego organu.

Powiedz-że teraz sumiennie, jaki jest pożytek z tego pisma? A przecież ma ono zadanie bardzo rozumne. Rząd jako czynnik dodatni w społeczeństwie ma prawo i powinien nakierowywać opinję publiczną. Stojąc na szczycie społeczeństwa jak strażnik pożarowy na wieży, obejmuje szerszy okiem widnokrąg i widzi te cele, te korzyści i te niebezpieczeństwa, których zwykły śmiertelnik dopatrzyć nie może. Zobaczywszy je i powziąwszy odpowiednie postanowienie, ma wszelkie prawo wyjaśnić rzecz publiczności za pomocą swojego organu. Więc organ ten powinien być tem, czem obrońca jest w sądzie, skoro liberalne pisma przyjęły na siebie rolę oskarżyciela, a publiczność zasiadła na ławie

przysięgłych. Powinien obalać każdy argument prokuratora liberalnego, nicować jego sofistyczne wywody, silnym być w dialektyce, zręcznym w ripoście, w sarkazmie nieporównanym; być szermierzem ciągle i zawsze i ani na chwilę nie zrzucać bojowego rynsztunku; walczyć wstępnemi artykułami i feljetonem, kroniką i telegramami; nie pozostawiać bez odpowiedzi ani jednego naciągniętego argumentu, dotykać ciągle pulsu publiczności, czuć jakie wrażenie zrobił na nią ten lub ów zarzut i nie siedzieć w Suakimie lub w Bombaju, lecz być nieustannie w kraju, aby nieprzyjaciela tropić bez przerwy.

Oto zadanie urzędowego organu, zadanie poważne, rozumne i szczytne, w naszym kraju tem szczytniejsze, że mające do walczenia z stronnictwem, które nietylko jako liberalne jest antyspołeczne, ale nadto jako rewolucyjne jest szkodliwe dla przyszłości naszej, chociaż nazywa się narodowem i gotowe przelać krew za ojczyznę.

Zechciej teraz zesumować to wszystko, com w tych listach powiedział, aby ocenić prasową sytuację w Galicji. Dowiesz się bowiem rzeczy takiej, której niezawodnie nie przypuszczałeś, mianowicie, że jest to kraj, bodaj czy nie jedyny na kuli ziemskiej, w którym swoboda prasy w tak oryginalny sposób wyzyskaną została, iż ludzie stojący u steru nie mogą panować nad umysłami, a pierwszy lepszy, nie pisarz ale rębacz dziennikarski kieruje opinją publiczną według swego widzimisię. Bo tylko popatrz.

U steru stoi gabinet hr. Taaffego, a w kraju popiera go to stronnictwo, które w Sejmie nazywa się „klubem prawicy", w Wiedniu zaś tworzy większość Koła polskiego. Organem jednej frakcji tego stronnictwa jest *Czas*, ale jako pismo wychodzące w Krakowie, w historycznej stolicy Polski, ale nie w faktycznej stolicy Galicji, może wpływ wywierać jedynie na zachodnią część kraju. Więc też ma tam znaczenie o tyle, iż *enfonce les portes ouvertes* w szczupłem gronie swych prenumeratorów. Organem rządu jest *Gazeta Lwowska*, ale ta znowu więcej dba o Mahdiego, niż o gabinet rządzący w Austrji, więcej się interesuje Bombajem, niż sprawami domowemi. Natomiast przeciwny obóz, przesiąknięty aż do szpiku kości antyspołecznemi poglądami liberalnej doktryny i anarchicznemi rodzimemi skłonnościami, rozdał między siebie role i obsadził wszystkie w kraju poste-

runki. Więc nietylko wydaje pięć pism codziennych, ale nadto mnóstwo świstków rozmaitych i pisemek prowincjonalnych. Od Czerniowiec aż do Krakowa panuje na całym terenie, a jak wybornie popiera siebie, jak znakomicie się reklamuje! Jego organa kłócą się nieraz między sobą, zwłaszcza gdy o osoby protektorów spór zawiodą, ale niechno poczują wspólnego wroga! — rzucają się sobie natychmiast w objęcia i zjednoczonemi nacierając na niego siłami, przedrukowują z zapałem i z wykrzyknikami zachwytu wszystkie paszkwile, jakie każdy z nich zdoła na niego wymyślić.

Wśród takiej sytuacji, cóż dziwnego, że posłowie, zwłaszcza z kurji miejskiej, muszą się uginać pod naciskiem prasy liberalnej, składać mandaty i przez swoje *liberum veto* narażać na szwank sprawę publiczną, stokroć w każdym razie ważniejszą, niżeli ich prywatne ambicje lub miejska popularność?

Inaczej zaś zupełnie układałyby się rzeczy, i inaczej formowałaby się opinja publiczna, gdyby *Gazeta Lwowska*, panując już na terenie wschodniem, zechciała swą bierną rolę przy jej tworzeniu zamienić na czynną. Nie mówiąc już bowiem o tem, że mogłaby sama szerzyć zdrowie pojęcia tak z zakresu teorji socjalnej jak i politycznej praktyki, lekceważyć nie należy tego wpływu, jaki jej kontrola dziennikarska wywierałaby na liberalne pisma. Dzisiaj prasa nasza, dzięki temu, że cała (z wyjątkiem *Czasu)* do jednego obozu należy, jest jedyną u nas instytucją, niepodlegającą niczyjej kontroli, — bo kontrola prokuratorji poczyna się tam dopiero, gdzie niesforność stylowa wchodzi w kolizję z paragrafami ustawy prasowej, ułożonej jak rzadki grzebień: — po to, aby jak najwięcej brudu mogło się przeciskać między jego zębami. To też prokurator nie ściga objektywką złych rzeczy, ani głupich, ale tylko wyuzdanie stylowe, nie prześladuje szkodników, ale słabych stylistów, nie chroni publiczności od prasowego jadu, ale pracuje nad poprawieniem literackiego języka i powstrzymywaniem publicystów od używania stajennej okrasy. A kontrola publiczności? Wiesz przecie dobrze, że zrobiła fiasko we wszystkich gałęziach przemysłu. Wszakże to jej bezskuteczność skłoniła Radę państwa do uchwalenia nowej ustawy przemysłowej. Jeżeli więc na rzeczach np. takich jak obuwie nie może się publiczność poznać, to jakże możesz żądać od niej, aby się rozumiała na sprawach socjalnych, wymagają-

cych olbrzymich studjów i wielkiego rozwoju inteligencji. Musi ona tu iść na lep tych uczuć, które w niej dominują, a więc jak u nas na lep anarchji, kombinującej się tak wybornie z naszą nieszczęsną sytuacją polityczną i fałszywemi impulsami patrjotycznemi.

Natomiast kontrola dziennikarska byłaby dopiero skuteczną, kontrola poważna, spokojna, nie zstępująca z pola polemiki przyzwoitej. Zrazu wprawdzie pisma liberalne podniosłyby niesłychany wrzask, aby chińską metodą przerazić niebezpiecznego wroga. Ale w końcu musiałyby dźwigać na swych barkach ciężar tej kontroli. Pod wpływem jego słabsze zaczęłyby upadać. Za często bowiem wykazywanoby im nieznajomość spraw, lekkomyślność w ich traktowaniu, niesumienność w robieniu zarzutów, a nieuczciwość w rzucaniu paszkwilów. Publiczność pomału i stopniowo zaczęłaby przezierać i wyzwalać się z zaczarowanego koła, w którem prasa ją trzyma; więc poczęłaby odwracać się od pism, celujących tylko tromtadratycznością. Liczba ich zmniejszyłaby się i doszłaby niebawem do dwóch a może do jednego tylko. Za to byłoby to pismo bogate, posiadające ze cztery tysiące prenumeratorów, a więc mogące opłacać poważnych i zdolnych współpracowników, ludzi wykształconych i dojrzałych w sądzie, a nie lekkomyślną dziatwą. Wprawdzie ci poważni współpracownicy, jako przejęci doktryną liberalną, szerzyliby także liberalne tezy; ale przynajmniej w kwestjach techniczno-politycznych, a takich mnóstwo nastręcza się ciągle, jak np. ugoda rządu z koleją północną, sprawa decentralizacji kolejowej, kwestja fakultetu lekarskiego etc. nie bryzgaliby tak nierozważnie błotem, nie jątrzyliby kraju, nie szkodziliby rozumnej polityce Koła, lecz staraliby się przedewszystkiem o umiejętne przedstawienie sprawy, — ważąc każde swe słowo i każdy swój argument, z obawy kontroli, prowadzonej przez *Gazetę Lwowską.*

I doczekalibyśmy się tego co byłoby najlepszem w teraźniejszej przejściowej epoce dziejów, to jest zamiast pięciu pism prowadzących nas na manowce i rozczyniających społeczeństwo, jedno poważne i nie opozycyjne, bo opozycyjność jest niedorzecznością, ale krytyczne. Nie usunęłoby to wprawdzie potrzeby zreformowania ustawy prasowej według umiejętnych wskazówek socjologicznych, ale przynajmniej uchroniłoby nas choć

w części od tych szkód, na jakie nas dzisiejsza naraża i zreformowałoby prasę naszę, o co mi się zdaje powinno iść każdemu, patrzącemu poważnie na sprawy publiczne.

XIV.

3. Kwietnia 1884 r.

Piszesz do mnie w ostatnim liście:

„Dodać jeszcze muszę, że anarchicznych popędów nie widzę w naszem społeczeństwie. Raczej dostrzegam skłonność do służalstwa i uginania się przed siłą. To co bierzesz za objaw anarchiczności jest mojem zdaniem dowodem, żeśmy jeszcze pół-Azjaty. Jak psy zamknięte w jednej psiarni i obdarzone konstytucyjnem prawem dokuczania sobie wzajemnie, gryzą się do krwi, a przed lada batem zbijają się w kupę, trzęsąc się ze strachu: tak my wołamy hejże! na każdego, co się naprzód czemkolwiek wysunął, a ma nieszczęście być naszym rodakiem. Dla tego to „Minister-Rodak“ stało się niemal ubliżającą nazwą. Równocześnie wszystko co obce a silne otaczamy wysoką czcią. Największy krzykacz lwowski, w palonych butach i czamarze, padnie plackiem przed każdym obcym dygnitarzem, aby sobie sprawić przyjemność. Przykładów, z ostatnich nawet lat kilku, mógłbym Ci tuzin przytoczyć. (Tu podajesz kilka przykładów, które omijam, bo nie wiem czyś je do druku przeznaczył). Słowem, nasi ludzie trącą czeladnią. Przypomnę Ci tę prawdę, że narody słabo wykształcone są bardzo pochopne do krytyki, gdyż łatwą jest. A że ta krytyka trąci obornikiem, to już skutek grubych uczuć, zmysłowych popędów i płaskich myśli. Nie anarchiczne tedy popędy widzę w naszem społeczeństwie, ale niewyrobienie, głupotę a zarozumiałość i butę właściwą nieukom“.....

Mocno Ci jestem obowiązany za ten ustęp, bo wątpię, czy przeciwnicy moi będą równie jak Ty pochopni do wejścia odrazu na teren psychologiczny. Argumentacja Twoja upraszcza więc dyskusję, a tem samem przyczynia się niepospolicie do wyjaśnienia kwestji.

Powiadasz, że anarchicznych popędów nie widzisz w naszem społeczeństwie, jednakże nie przytaczasz dowodów na poparcie

tego twierdzenia, ani takich, któreby świadczyły, że posiadamy wysoko rozwinięte popędy przeciwstawne, to jest te, które tworzą solidarność społeczną, ani też takich, któreby tylko przeczyły skłonności ku anarchji. Wolno mi domyślać się, że nie uczyniłeś tego przez proste zaniedbanie, ale z powodu głębszego, — z braku takich dowodów, i jednej i drugiej kategorji. Gdybyś je miał pod ręką, gdyby one podsuwały się Tobie tak same pod pióro, jak podsuwać się muszą pod pióro dajmy na to żydowskiego pisarza, potrzebującego umotywować solidarność swojego plemienia, nie byłbyś niezawodnie omieszkał uczynić z nich użytku. W dyskusji, — ludzie częściej naciągają dowody niż pomijają. Tymczasem uczyniłeś odwrotnie, bo podałeś przykład, przemawiający za anarchicznością, ale zamiast go anarchicznym popędem wyjaśnić, dopatrzyłeś w nim tylko analogji do psychograficznych przymiotów psa.

Do tej analogji, znakomicie dopatrzonej, wrócę natychmiast, bo zamiast przeczyć, uzasadnia moje twierdzenie. Wprzódy jednak poprę je dowodem poważnym, historycznym, aby już kto inny nie czuł się równie jak Ty na siłach odeprzeć go gołosłownie. Snać za mało rzecz mą umotywowałem w liście IV., skoro mogłeś tak lekko przejść nad nią do porządku dziennego. Ale wówczas było niemal niemożebnem wyłożyć jej obszerniej; za to teraz, rozszerzywszy teren w kilku ostatnich listach, mogę z zebranego materjału wyciągnąć pewną korzyść.

Musiałeś zapewne nieraz słyszeć zdanie, wypowiadane z dumą przez naszych patrjotów, że Polska wyprzedziła Europę w swobodach konstytucyjnych i w religijnej tolerancji. Czytając dzieje, spotykałeś fakta, świadczące w samej rzeczy, że nasi prajojcowie jak gdyby przeczuli niejednę z tych swobód, których się Europa dobiła dopiero w bieżącem stuleciu. Antycypacja taka na polu politycznem jest zastanowienia godną i mogłaby dumą napełnić, gdyby.... *lâchons le mot* ... gdyby warto było chełpić się z przywary.

Ale czy się zastanowiłeś nad tem, że ta antycypacja nie doczekała się dotąd wyjaśnienia naukowego. Najwięksi jej admiratorowie a apologeci wszelkiej, tak dodatniej jak i ujemnej, swojszczyzny; również i najzdolniejsi pisarze obozu liberalnego, w zachwyt wpadający na widok, że Polska wyprzedziła w liberalizmie Europę, z której zresztą wszelką inną mądrość czerpała;

nie postarali się umiejętnie wytłómaczyć analogji istniejącej między dzisiejszą liberalną doktryną a rodzimą naszą skłonnością do stawiania prywatnego interesu na równi z krajowym, do mierzenia jedną miarą indywidualnego widzimisię i społecznej potrzeby, do równoważenia *liberum veto* z aspiracją ogółu. Najgłębsi z nich, czujący logiczną potrzebę wskazania przyczyny dla owego skutku, odwoływali się do metafizycznych refleksyj na temat wybranego narodu i czuli się tem bardziej dumni z wchodzenia w skład jego całości. Owoż nauka nie zna wybranych narodów; zna ona tylko rozmaite etniczne znamiona, które skombinowane w ten lub w ów sposób pozwalają każdej narodowej jednostce odpowiednio posłać sobie łożysko dziejowe.

Myśmy w kombinacji naszej dali przewagę anarchicznym popędom i przeto tworzyliśmy instytucje, mające podobieństwo do liberalnych, jako również zrodzonych na antyspołecznym gruncie. Nasza „złota wolność" i dzisiejsza wolność liberalna zrastają się — plecami. Pierwsza wyłoniła się z anarchicznych uczuć, a druga torem wyrozumowanej doktryny zmierza ku anarchji. Pierwsza jest więc naszą chorobą organiczną, gdy druga stanem przejściowym Europy. Nie postaraliśmy się za pomocą rozumnej terapji, wyleczyć siebie z anarchicznej choroby, a za pomocą rozumnej pedagogiki wychować sobie pokolenia, mniej do niej skłonnego, lecz zobaczywszy, że Europa wprowadza u siebie formy, do naszych dawnych podobne, zapałaliśmy do nich wielkim afektem, bo przez anarchję poczuliśmy ku nim naturalny popęd i wmawiać poczęliśmy w siebie, żeśmy już dawno ją wyprzedzili. Tymczasem ona kuruje się szybko, z liberalizmu, przebiegłszy rozmaite gradacje, przeszła już dzisiaj w okres socjalizmu państwowego, od którego już tylko krok do rozumnej, a konserwatywnej organizacji socjalnej; my zaś ciągle pieścimy się liberalnemi formułkami, a w rewolucyjnych wybuchach i anarchicznem konspirowaniu widzimy patrjotyczny rozum stanu.

Nie przecz tedy anarchicznej chorobie, bo każde przeczenie wychodzi tylko na jej korzyść, a w dalszej konsekwencji daje sankcję robocie tych, którzy metodą zbrojnych porywów chcą nas zbawiać. Rozumiesz bowiem dobrze, że odkąd dolne warstwy, w wielu prowincjach zupełnie nam obce i nieprzyjaznem pałające do nas uczuciem, przyszły do głosu, odtąd jeszcze jeden

słomiany ogień w polskiej chacie, a nastąpi zupełne bankructwo naszej sprawy. To zatem, co temu lat dwadzieścia mogło być jeszcze uważane jako smutna lekkomyślność, będzie dziś już zbrodnią najwyższej kategorji.

Wracam do Twej analogji, bo jest ona wyborną. „Psy zamknięte w jednej psiarni i obdarzone konstytucyjnem prawem dokuczania sobie wzajemnie, gryzą się do krwi, a przed lada batem zbijają się w kupę, trzęsąc się ze strachu“. Znakomita illustracja naszych paszkwilowych walk, brudnych insynuacyj, nieustannych potwarzy, słowem tego wszystkiego, co potrafiliśmy z danych nam swobód wydobyć, aby sobie uprzyjemnić życie wśród rodaków i pracę na ojczystej niwie.

Owoż analogja ta powstała w Twoim umyśle na podstawie wspólności znamion między naszem postępowaniem, a naturą psa. Wytworzyłeś ją w chwili, gdyś zaprzeczał istnieniu w nas anarchicznych popędów, więc sąd Twój nie może być stronniczy; a jednak chcąc znaleźć podobieństwo do nas w świecie zwierzęcym, bo on maluje wyraziściej każdy z pierwiastkowych psychologicznych popędów, wybrałeś mimowoli zwierzę *par excellence* anarchiczne. Nie jest że to pełne znaczenia? Bo w czemże tkwi trafność Twej analogji? Przecież ani w rysunku postaci psa, ani w szerści, ani w zębach, ani w żadnym innym morfologicznem znamieniu psiego organizmu, tylko w tym braku wszelkich popędów solidarnych, a natomiast w tym wysokim rozwoju wszystkich popędów anarchicznych, jakie cechują psa i inne mu pokrewne rodzaje zwierząt. Woły, konie, owce, zachowałyby się już zupełnie inaczej w takiej samej sytuacji, bo w nich kosztem anarchicznych wyrobiły się stadowe popędy; nie użyłeś ich więc do porównania, gdyż żadnej analogji z naszem postępowaniem dopatrzyć w nich nie mogłeś. Ale w psie dopatrzyłeś wielką, i to nie w psie, jako w morfologicznej całości, tylko w tym rysie jego charakteru, który w psychografii zwierząt domowych stawia go, jako typowy okaz, na czele anarchicznych jestestw.

Piszesz mi dalej w swym liście:

„W imię solidarności społecznej każesz nam otaczać Sejm i Koło najwyższym respektem, a głowę uginać przed każdą ich uchwałą. Na respekt — zgoda. Bo nie pojmuję, jak można, szanując siebie, nie otaczać czcią ludzi, których sami wybraliśmy

na reprezentantów naszych i kierowników naszej łodzi społecznej. Ale, na Boga! jakże można żądać, abyśmy bezwarunkowo uginali głowę przed ich uchwałami? Cóżby się wtedy stało z całą krytyką i opozycją? — z tą opozycją, o której, nie pamiętam już jaki mąż stanu powiedział, że gdyby jej nie było, stworzyćby ją trzeba? Zastanów się do czegobyśmy doszli, gdybyśmy, przyjmując za dobry każdy krok Sejmu, czy Koła, wołali w nabożnem uniesieniu: Daliście! — wzięliście! — niech się dzieje Wasza wola święta! — Oto doszlibyśmy najpierw do tego, że posłowie, nieskrępowani żadną kontrolą, a wystawieni na liczne pokusy, łatwo popadliby w szpony demoralizacji, bo choć zacnymi, ale przecież ludźmi są; — i następnie pozbawilibyśmy się tego bodźca do pracy, a zarazem punktu oparcia, jaki się znajduje w głośno objawionej opinji kraju. A oba te skutki bezopozycyjności złożyłyby się na stan rzeczy, którego pewnie nikt z nas nie pragnie: rząd, nie widząc roznamiętnienia w kraju, nie będzie się okazywał wcale pochopnym do czynienia zadość żądaniom posłów naszych, a przezto kraj, traktowany dotąd po macoszemu, zostałby zupełnie wydany na pastwę sfer wiedeńskich, — z drugiej zaś strony — publiczność nasza, nie będąc ćwiczona w krytyce spraw publicznych, straci do nich wszelki zapał, przestanie się niemi interesować i rychło zstąpi na niższy szczebel w ich znajomości. Zamiast więc dojrzewać politycznie, — stawać się będzie z każdym rokiem coraz mniej wyrobioną, mniej doświadczoną, mniej politycznie dojrzałą“.

Ustęp ten przynosi zaszczyt szkole liberalnej, a jako kwintessencja liberalnej mądrości stanu, mógłby posłużyć pierwszemu lepszemu z naszych pism tromtadratycznych za wstępny artykuł. Rozrobić go sporą dozą wody stylowej i dodać trochę pieprznej przyprawy, a rzecz będzie gotowa.

Pomimo swych zalet, ma on jednak wielką wadę, tę mianowicie, że zmusza mnie do zejścia na poziom spraw politycznych, podczas gdy intencją moją było pozostać w sferze spraw tylko socjalnych. Ale skoro sprowadzasz mnie na to niższe pole, więc schodzę, lecz przedewszystkiem proszę Cię, żebyś zechciał sprostować znaczenie wyrazu „krytyka“ i rozumiał przez nią przedmiotowy rozbiór danej tezy, sumienne wyłożenie wszystkich tych podstaw, z których drogą syntezy wysnuty został wniosek; a nie artykuł pełen jadu, z zawiści zrodzony, żółcią pisany i zmie-

rzający bądź ku strąceniu do błota ludzi stojących na widowni, bądź ku zachwianiu zaufania do wszelkich powag społecznych. Nasza prasa nie zna krytyki wcale, zna jeno napaść zjadliwą lub bezmyślną apologję, z tym dodatkiem, że tych, których dzisiaj uwielbia dla tego, iż idą w wytkniętym przez nią kierunku, obrzuci jutro błotem, jeżeli się zawahają przyjąć na siebie odpowiedzialności za wszystkie konsekwencje, jakie ten kierunek za sobą pociąga. Krytyka nie może się stać owocem zakazanym, bo jako dziecko analizy, jest przyrodzonym darem umysłu ludzkiego. Występować przeciw niej byłoby niedorzecznością, ale znowu jest niesumiennością sprzedawać pod jej etykietą towar, który nawet jej surogatem być nie może, gdyż nie posiada żadnego z jej przymiotów, jak np. przedmiotowość, znajomość gruntowna sprawy, respekt dla instytucji czy osoby etc.

Po tem wyjaśnieniu sądzę, że odpada cała Twa obawa o obaleniu kontroli, która jest niezawodnie potrzebną, a która byłaby właśnie dopiero wtedy skuteczną, gdyby miejsce paszkwilu zajęła krytyka i gdyby osoba kontrolowana czuła respekt dla kontrolującej. Dzisiaj właśnie kontroli nie ma, a najlepszym tego dowodem jest to, że ludzie stojący na czele naszego społeczeństwa przyznają się otwarcie, iż nigdy nie czytają organów tromtadratycznych. Rzecz oczywista, nikt do rąk nie bierze tego co brudne.

Z innych zupełnie względów odpaść musi wymyślony przez tromtadracją argument, iż jej wrzaski mogą kogokolwiek w Wiedniu przestraszyć. Powiadasz, że „rząd, nie widząc roznamiętnienia w kraju, nie będzie się czuł pochopnym do uczynienia zadość żądaniom delegatów“. Więc sądzisz, że rząd o usposobieniu kraju i o jego potrzebach dowiaduje się z tromtadratycznej prasy? Ależ dba o nią mniej, niż o śnieg zeszłoroczny. Przecież posiada inne organa, z których informacje czerpie. Najprzód Sejm i Koło, których głos dla niego jest pierwszorzędnej wagi, następnie ma w swem ręku całą maszynerję administracyjną, ma w kraju przeróżne instytucje, towarzystwa, Izby etc., które mu na żądanie opinją swą przedkładają; ma w swych biurach stosy aktów, dokumentów, relacyj, wykazów statystycznych, — i sądzisz, że rozporządzając tak bogatym materjałem, nastawia ucho na to, co pierwszy lepszy student lub wykolejone indywiduum napisze w swem tromtadratycznem pisemku?

A jednak — powiesz mi może — zwraca rząd uwagę na głosy niemieckich pism. Tak, ale to z zupełnie innego powodu. Nie chcę się zachwycać wiedeńskiemi liberalnemi dziennikami, bo pod pewnym względem są one jeszcze gorsze od naszych, ale mają ten wielki przymiot, iż są przeważnie organami stronnictw. Ilekroć więc przemawiają w ich imieniu, tylekroć mają szansę zwrócić na siebie uwagę sfer kompetentnych. Nasze zaś opozycyjne organa są geszeftem prywatnym, kramikiem handlującym towar publicystyczny pod etykietą najczęściej skompromitowaną. Kogoż więc obchodzić może zdanie takiego kramiku?

Dodać nadto winienem, że cała metoda traktowania Wiednia, przyjęta przez nasze pisma liberalne, jest z gruntu fałszywa. Wychodzą one z parlamentarnego założenia, że istnieje większość, mniejszość, rząd z większości wybrany i na wierzchu Korona, bierna, nieprowadząca polityki na własną rękę i postawiona na to tylko, aby dawać rządowi dymisję, gdy arytmetyka parlamentarna przeciw niemu przemówi. Szablon taki, wykrojony z pomysłu angielskiego, istnieje naprawdę w kilku krajach ku wielkiemu utrapieniu ludności. Bo w Anglji niedorzeczność pomysłu złagodzona jest tą okolicznością, iż między torysami a whigami nie ma zasadniczej różnicy. Oba stronnictwa są właściwie jednem w dwoistej postaci, a stąd też wyręczają się najczęściej i torysi wprowadzają w życie projekta whigów, a whigowie projekta torysów.

Europa wzięła tylko ujemną stronę pomysłu angielskiego i zastosowała ją u siebie w chwili, gdy runął gmach dorewolucyjnego społeczeństwa i kiedy przeto z natury rzeczy powstać musiała zasadnicza różnica programów między liberalnem stronnictwem burzącem a konserwatywnem, stojącem na stanowisku tradycji. Więc kiedy w Anglji między większością a mniejszością jest zawsze tylko różnica w odcieniu, i że tak powiem w temperamencie, a za to wspólny grunt historyczny, wspólne tradycje, wspólne zasady, dążenia i nawet metoda; to w Europie jedno stronnictwo prowadzi swą genealogję od pierwszych niemal wieków Chrześciaństwa, drugie od 1789 r.; jedno myśli o budowaniu na podstawie historycznej, drugie o burzeniu tego wszystkiego co właśnie ma historyczną przeszłość, od herbów aż do tytułów ludzkich i nazwy ulic, od zwyczajów aż do instytucyj. Na polu społecznem nie mają one między sobą tak dalece nic

wspólnego, że stoją w obec siebie nie jako dwa czynniki, uzupełniające się nawzajem, ale jako dwie antytezy, nawzajem się znoszące, jako barwa biała i czarna, dające w syntezie szarą, jako ziemia i woda, dające w syntezie... błoto.

Szarzyzna i błoto jest też w samej rzeczy treścią parlamentarnego angielskiego systemu na stałym lądzie Europy, szarzyzna i błoto, wytwarzające się stąd, że to co w Anglji się uzupełnia, tu się przeciwstawia, że to co tam jednoczy się w organiczną całość, rozwijaną po kolei to przez torysów, to przez whigów, tu się łamie z każdą zmianą większości i zaznacza się w dziejach szeregiem ciągłych *solutions de continuité*, jakby rowków, oddzielających na wstędze dziejowej ustępy czarnych rządów od białych.

Płynąca stąd pstrokatość dziejów może swój pendant znaleźć jedynie w bezgranicznej admiracji liberałów dla rzeczy tak grubej, brutalnej i bezmyślnej jaką jest parlamentarna cyfra. W państwie kilkudziesięciomilionowem 169 głosów oświadczyło się za rządem, a 174 przeciw, stąd racja do zmiany systemu, burzenia wszystkiego co wznieśli poprzednicy, a fabrykowania nowych ustaw i nowych instytucyj na nowem kopycie. Żeby jednak cały ten bezsens ogarnąć i w bezdeń jego zajrzeć, musisz przypomnieć sobie ten socjalny aksjomat, że każda nowa ustawa, jakkolwiek drobnej dotykałaby rzeczy, naraża mnóstwo prywatnych interesów na szwank, znosi tysiące egzystencyj, a tysiące na inne popycha tory. I dla czegoż powstaje takie jeneralne zamięszanie w życiu państwa? Czy zrodziła je jakaś myśl wyższa, jakaś wyzwolona z utajenia energja, jakaś wielka społeczna potrzeba? Nie, bynajmniej, kilkadziesiąt miljonów obywateli żadnej zmiany nie pragnęło. Zrodziła ją tylko arytmetyczna reguła, powiadająca, że od 169 niepodobna odjąć 174, *ergo* trzeba wszystko wywrócić.

Na szczęście mamy w Austrji czynnik, który choć cośkolwiek łagodzi niedorzeczność parlamentaryzmu, czynnik poważny, dodatni, na organicznej tradycji oparty, a więc pełen organicznej myśli i tendencji. Zgadujesz oczywiście, że mam na myśli Koronę — instytucję, która nietylko jest polityczną, ale i socjalną zarazem, bo czerpie swą siłę z społecznej potrzeby, a nie z jakiegoś politycznego plebiscytu. Jej żywotności miarą jest to, że przetrwała wszystkie polityczne burze współczesnej

rozkładowej epoki, a jej znaczenia miarą to być może, że stanowi cement, sprzęgający przeróżne ludy Monarchji. Bez niej rozpadłaby się Austrja na strzępy i nieuratowałby jej żaden rząd, chociażby miał wszystkie parlamentarne cyfry za sobą.

Nie umiałbym Ci powiedzieć dla czego pisma liberalne nie rozumieją tego organicznego znaczenia Korony i nie oceniają tej społecznej potrzeby, której ona zadość czyni? Czy dla tego, że liberalna doktryna stłumiła w nich wszystkie socjalne instynkta, czy też dla tego, że każe im wpatrywać się w republikański ideał: w prezydenta, który się z cyfry parlamentarnej urodzi i będzie instytucją tylko polityczną, tylko administracyjną, w usługach większości stojącej u steru. Dość, że dla nich Korona jest jeno reprezentantem monarchji na zewnątrz a wewnątrz instytucją do dawania dymisji gabinetowi, przeciw któremu oświadczyła się parlamentarna cyfra.

Z tego fałszywego zapatrywania na Koronę i na jej znaczenie w Austrji wypływa cały szereg fałszywych propozycyj, które te pisma robią Kołu i cały szereg fałszywych komentarzy, jakie piszą na marginesach jego polityki. Stąd także płynie niezdolność ich do ocenienia wielkiego znaczenia i głębokiej politycznej wartości hasła: „Przy Tobie Najj. Panie stoimy i stać chcemy!“ Zapatrzeni w szablon parlamentarnego systemu widzą objaw serwilizmu w tem, co jest właściwie oparciem się o jedyny stały czynnik w austryjackiej monarchji, zbudowany na tradycyjnej socjalnej opoce a nie na politycznym piasku, wyższy po nad wszystkie parlamentarne cyfry, i będący nietylko koroną Austrji, ale i racją jej bytu. Przypomnij sobie statuę, którąśmy rozbili, zawędrowawszy do glyptoteki w jednym z poprzednich listów. Znieś ów stały czynnik, owę oś, dokoła której wszystko obraca się w Austrji, a pozostaną etniczne ziarnka, niewyrażające żadnej myśli i niezdolne do samodzielnego bytu.

To wielkie znaczenie Korony w Austrji, nietylko polityczne ale i socjalne, umiało ocenić nasze konserwatywne stronnictwo, co świadczy zarazem o jego politycznym rozumie i o wielkiem socjalnem poczuciu. Doszedłszy do tego przeświadczenia, wytknęło ono polityce krajowej odpowiedni kierunek, wyrażający się tem, że dla pomyślnej organizacji kraju i podniesienia jego znaczenia w Monarchji ważniejszem jest zdobycie zaufania Korony, niż przechylenie jakimś politycznym fortelem

cyfry parlamentarnej na swoję korzyść; ważniejszem jest oparcie się o to co jest stałem, silnem, zrodzonem z socjalnej potrzeby, niż o to co jest błyskotliwem, chwilowem, z cyfry zrodzonem i cyfrą zabijanem. Tak prostej rzeczy nie umiało jednak pojąć stronnictwo liberalne, a rzucając kamienie na drogę konserwatystów, nie przynosiło im wprawdzie żadnej szkody, ale poświęcało kraj nieustannie na ołtarzu teoretycznych formułek doktryny parlamentarnej.

I tu jest miejsce do zrobienia wzmianki o tym nonsensie liberalnym, nazywającym się opozycją. Wyłonił się on z ogólnej teorji o konkurencji i oparty był na takiem rozumowaniu: współubieganie się stronnictw o zajęcie miejsca u steru popchnie je do rozwijania najszlachetniejszych swych przymiotów i do starania się o jak największe dobro kraju. Rywalizacja toczyć się więc będzie nietylko na arenie jak największego poświęcania się dla sprawy publicznej, ale także w tworzeniu jak najrozumniejszych pomysłów i najpraktyczniejszych aparatów administracyjnych. Walka opozycji z rządem będzie ciągłym bodźcem dla pomysłowych głów, a podnietą dla politycznej inwencji. I po pewnym szeregu lat wyciągniemy z niej tę korzyść, że wszelkie nadużycie władzy stanie się mytem, bo opozycja ciągłą będzie sprawowała kontrolę; administracja stanie się jak najprostszą i zarazem jak najtańszą, bo podsycana rywalizacją inwencja potworzy cuda na tem polu; moralność polityczna dojdzie do ideału, bo zwycięzkie wawrzyny zawsze zdobić będą skronie tego stronnictwa, które na polu ofiarności i patrjotyzmu pójdzie jak najdalej.

Byłoby może zbytecznem mówić Ci, jakie ta teorja, osnuta na fantazji a nie na znajomości natury ludzkiej, spłodziła w praktyce rzeczy. Fałszywa zasada konkurencji doprowadziła we wszystkich gałęziach do fałszywych skutków. Jak w przemyśle dała nam fuszerkę, tak w polityce — blagę. Stronnictwa zamiast rozwijać swe szlachetne przymioty i rywalizować dodatniemi swemi stronami zaczęły ubiegać się ujemnemi, jako tańszym psychicznym robotnikiem, o popularność u gminu, a ponieważ do niego przemawiać wypadało jego językiem i schlebiać jego aspiracjom, przeto poczęły biedz na wyścigi zarówno w przesadzie obietnic jak i w szkalowaniu się wzajemnem. O ofiarności dla sprawy publicznej nikt nie myślał, tak dalece, że w dziejach parlamentaryzmu zapisane są jako białe kruki te wypadki, kiedy

opozycja nie dla taktyki, ale z admiracji dla szlachetnego patrjotyzmu dawała poklask rządowi. Najsprytniejsze i najprzewrotniejsze stronnictwo wieńczono laurem władzy, a wyzucie się z wszelkich „przesądów“ moralnych, nie zaś ich ścisłe przestrzeganie, stało się drogą do jego zdobycia.

Opowiadać Ci jak administracyjna maszyna zamiast tanieć i upraszczać się, poczęła się komplikować i drożeć przez potrzebę tworzenia nowych kółek dla silniejszego wpływania na masy lub płacenia posadami zaciągniętego u sojuszników długu wdzięczności; jak statystyka, ten najtańszy argument, wyrosła do znaczenia wykładnika socjalnej mądrości; jak nadużycie, zamiast uschnąć pod słońcem kontroli, zaczęło się rozwijać, podlewane wodą, która tworzyła wzajemna tolerancja; i tysiące innych podobnych rzeczy, byłoby to to samo co zasiąść do spisywania świergotu wróbli. Pójdź więc na dachy i podsłuchaj co one sobie szepcą, a wykończysz bez mojej pomocy ten obraz parlamentaryzmu, którego zaledwie szkic podać Ci tutaj mogłem...

XV.

5. Kwietnia 1884 r.

Żądasz essencji, treściwego sformułowania, albo może sparagrafowania tych socjalnych prawd, które pragnąłbym przeciwstawić liberalnej doktrynie? Zechciej jednak zrozumieć, że jestto niemożebnem bez nadania pracy mojej tomowego rozmiaru. Każde twierdzenie musiałbym uzasadniać szczegółowo, chronić od zarzutów lekkomyślnych bardziej jeszcze niż od poważnych, otaczać wałem uzbrojonym w argumentacją jak najgrubszego kalibru, a to wszystko dla tego, aby nie skompromitować tych rozumnych i ściśle umiejętnych pomysłów, które rozsiane są tu i ówdzie w dziełach naukowych, ale nie stały się jeszcze własnością gminu.

Lecz bez obawy ataków przeciwnego obozu wolno mi już jednę prawdę wypowiedzieć, najbardziej gorzką dla liberalnej doktryny, bo pozbawiającą ją fundamentów i przekształcającą w budynek na piasku wystawiony.

Prawda ta wypływa sama przez się z poprzednich listów, a opiewa, że swoboda w życiu społecznem jest najwyższą możebną niedorzecznością. Bo jakkolwiek w teorji podnieca ona zarówno dodatnie jak i ujemne popędy człowieka, to jest zarówno społeczne jak i indywidualistyczne, to jednak w praktyce staje po stronie ostatnich i im premję daje, a to dla tego, że mówią zawsze głośniej, do duszy silniej pukają i co najważniejsza, obiecują bezpośrednią nagrodę.

Ludzie, jak fabryki, prowadzą między sobą konkurencyjną walkę. Każdego człowieka możesz przyrównać do warstatu, rozporządzającego pewną liczbą wątłych a przytem drogich robotników socjalnych i nadto mnóstwem silnych a przytem tanich robotników indywidualistycznych. Gdyby pierwszych zaprzęgał częściej do roboty, tworzyłby dzieła, które przynosząc korzyść państwu, spływałyby potem i na niego deszczem wszelkiego dobra. Ale ta droga jest trudna, ofiary wyraźnie maluje i rzeźbi, a zyski zaledwie szkicuje w dalekiej perspektywie. Natomiast używanie robotników indywidualistycznych nagrodę wnet sprowadza, satysfakcję daje wszystkim zmysłowym popędom, a chociaż karę przyrzeka, ale jakże za to daleką! Kto wie nawet — powiada sobie człowiek — czy na mnie ona spadnie, może dopiero na moich wnuków lub prawnuków, a ci dadzą przecież sobie jakoś radę...

Tak mawiała szlachta polska w XVII i XVIII stuleciu, słuchając podszeptu indywidualistycznych popędów i broniąc zawzięcie swoich przywilejów od roszczeń królewskiej władzy. Gorzkie owoce ówczesnej szlacheckiej swobody spożywamy dzisiaj ze łzami...

Nie powiem, żeby natura ludzka była słabą i ułomną, bo nie umiem sobie inaczej jej wyobrazić niż taką, jaką właśnie jest. Przypuszczać zaś mam prawo, że odwrotny stosunek, to jest wysoki rozwój socjalnych instynktów, a słaby indywidualistycznych miałby także swoję złą stronę, bo pozbawiałby nas tej wielkiej energji i wytrwałości w pracy jaką dzisiaj zdradzamy. Ale zresztą, o zreformowanie naszej natury kusić się nie może ani socjalna nauka, ani jej praktyczne zastosowanie, zwane polityką. Konstatują one tylko fakt, że popędy socjalne są słabe w człowieku i że gdy ma on swobodny przed sobą wybór, to w swym warstacie stokroć częściej zaprzęga do roboty indywidu-

alistycznych robotników, niż socjalnych, ponieważ są tańsi i zysk bezpośredni przynoszą.

Stąd wypływa dla społeczeństwa potrzeba stawania za pomocą ustaw na straży interesów publicznych i łamania do nich woli jednostek. Zasada tem sprawiedliwsza, że dająca w nagrodę za małą ofiarę nieobliczone korzyści, jak bezpieczeństwo mienia i życia, sposobność zarobku, wszystkie dobrodziejstwa porządku i ładu, wszystkie zyski z pracy poprzednich pokoleń etc.

Wszystko zatem co tylko jest społeczne powinno być uorganizowane, ujęte w pewne formy i reguły, takie i tak mądrze obmyślane, aby ciągle podsycały socjalne popędy człowieka i im dawały premję, jednakże nie krępowały zbytecznie popędów indywidualistycznych, to jest nie ścigały ich po za tą granicą, po za którą społeczeństwo nie osiąga już żadnej z ich prześladowania korzyści, a tylko jednostka zostaje złamana. Ten właśnie błąd popełniła organizacja społeczna w epoce przedrewolucyjnej, a oczywiście powtórzyć go nam nie wolno. Łamanie jednostek to jest przyrodzonych praw duszy ludzkiej jest zawsze niedorzecznem; na zręcznem ich kierowaniu ku wyższym celom zasadza się cały rozum stanu, a na umiejętnem pielęgnowaniu i hodowaniu socjalnych popędów cały program pracy organicznej.

Praca organiczna! Użyłem terminu, którego wprowadzać tu nie wypadało, a to dla tego, że liberalna prasa nadużyła go i przekształciła w maszynkę do rzucania piasku w oczy gawiedzi.

W pojęciu liberałów praca organiczna oznacza zabiegi około rozszerzenia oświaty i zdobycia dobrobytu — nic więcej. A czyż to wystarcza do utworzenia jędrnej organizacji społecznej? Czyż daje to myśl narodowi i robi go zdolnym do dopięcia zadania, jakie wytknął sobie? Czy jest to nawet czemś takiem, co jako cel może być uważanem?

Bo jasnem jest przecie, że dobrobyt może być tylko skutkiem pewnej organizacji społecznej, a nie jej poprzednikiem. Jest przytem pojęciem zupełnie względnem, zależnem od najrozmaitszych czynników. Był nieporównanie większym w wiekach średnich, nie dla tego, aby aspiracje ówczesnych ludzi były mniejsze, ale że organizacja społeczna była lepszą; spadł dzisiaj, bo liberalna doktryna wprowadziła swobodę w życie społeczne i chciała wszystkie wypaczenia regulować zapomocą konkurencji;

podniesie się znowu, gdy rozumny ustrój socjalny zajmie miejsce dzisiejszej dezorganizacji.

Więc pracować nad stworzeniem dobrobytu bez polepszania organizacji socjalnej jest to oddawać się złudzeniu i mniemać, że można stworzyć skutek bez uprzedniego stworzenia przyczyny. Dobrobyt w państwie to mniej więcej to samo co cera w człowieku. Świeżą bywa i czerstwą, gdy organizm jest zdrowym; żółtą i bledniczą, gdy chory. Jakież jednak miałbyś wyobrażenie o lekarzu, któryby zamiast leczyć organizm, wysilał się na poprawienie cery za pomocą kosmetyków? A kosmetyczną wartość mają te wszystkie ekonomiczne środki, do jakich się ucieka liberalny obóz. Całą swoją doktryną rozkłada organizm społeczny i niszczy jego zdrowie, a równocześnie ekonomicznemi konceptami, dziwaczniejszemi jedne od drugich, smaruje go po wierzchu i mniema, że do dobrobytu dotrze.

A oświata! Cóż o niej powiedzieć? Chyba tylko to, że to niepospolicie wielki wyraz dla nieskończenie małej rzeczy. Brzmi bombastycznie i czarujący na naiwnych słuchaczy efekt wywiera; w istocie zaś oznacza zdobycie paru najprostszych instrumentów do przyswajania sobie pojęć. A już wiesz z poprzedniego, że nie na pojęciach, ale na afektach oparta jest organizacja społeczna. Więc chociażbyśmy doszli do tego, że wszyscy mieszkańcy naszego kraju posiadaliby umiejętność czytania, pisania i rachowania, to jeszcze w sprawie organizacji społecznej nie postąpilibyśmy ani o krok naprzód. Wszelako nie sądź, żebym był przeciwnym szerzeniu tej tak zwanej oświaty. I owszem, każdej nowo założonej szkole poklask daję, choćby już dla tego, że rozwój pojęć pociąga za sobą kształcenie uczuć. Idzie mi tylko o to, aby się nie łudzono i prostym a podrzędnym środkom nie przypisywano jakiejś nadprzyrodzonej metafizycznej siły a nadewszystko, aby gwoli nich nie zaniedbywano sprawy stokroć ważniejszej, prawdziwej pracy organizacyjnej, polegającej na wyrobieniu i rozwijaniu socjalnych popędów, a na tępieniu anarchicznych skłonności, tak jeszcze silnych w naszem społeczeństwie, że znoszących nawet wszystkie te korzyści, jakie moglibyśmy wyciągnąć z uczuć patrjotycznych, niezaprzeczenie mocno w nas rozwiniętych.